

S. KRAKOWIAK, W. KOSOBUEK i T. TOMKIEWICZ: Dalsze głosy w dyskusji o „Wsi”.
 Z. POLSAKIEWICZ: Lenin.
 K. DĘBNICKI: Północ i Południe.
 T. KOWALCZYK: Powrót Latarników.
 J. MAKARUK: Pierwsze osiągnięcia.
 F. FREJ: W sprawie portretów wielkich twórców.
 W. PALIK: Szkoła nowego życia.
 E. NIEWIESKA: Wielki tłumacz poezji walczącej.
 E. STRITTMATTER: Rok nieurodzaju.
 J. JELONEK: Problemy kulturalne gromady Porąbka.

W i e s ę

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI

Warszawa, dnia 17 stycznia 1954 r.

Nr 3 (441)

ANTONI GAJDA

RYSZARD HŁADKO

Mój projekt do planu gromadzkiego

Referat tow. Bolesława Bieruta na IX Plenum KC PZPR i tezy do dyskusji przed II Zjazdem znalazły żywy odzew wśród rolników w naszej wsi. U nas chłopcy jeszcze gospodarują po staremu, często prymitywnie, bez wykorzystania wiedzy rolniczej, bez prób wydobycia rezerwy produkcyjnej z gospodarstwa. Dlatego moją gromadę muszę zaliczyć do tych, gdzie rolnictwo nie podnosi wydajności, a w ostatnich dwóch latach nawet trochę podupada. Np. hodowla — zamiast wzrastać — od 1951 r. została zmniejszona o około 10 proc.

Może właśnie dlatego, że zaniedbaliśmy hodowlę, również uprawa zbóż i okopowych nie była wystarczająca. W tenach przeczytałem o istotnej zależności i wzajemności hodowli i uprawy w każdym gospodarstwie.

Wyczuwaliśmy w tenach zadanie podniesienia wydajności rolnictwa w ciągu najbliższych dwóch lat, postanowiłem się poważnie: czy jest to możliwe w mojej, zacofanej jeszcze wsi? Czy przeciętne gospodarstwo może odrobić zaległości, jakie narosły w ostatnich latach?

Po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że w mojej wsi istnieją takie możliwości: przede wszystkim przez uruchomienie rezerwy paszowych i ruszenie „całą parą” z hodowli. Aby tego dokonać, trzeba zwiększyć niektóre uprawy okopowych, rozszerzyć uprawy motylkowych i wprowadzić uprawę roślin takich, jak koniki, zab, sonecznik, bulwa, oraz stać poplonu i międzyplony.

Na to, aby z powodzeniem wprowadzić te nowe rośliny do hodowli, brak nam wiedzy rolniczej i nowoczesnej praktyki. Gdyby można było naocześnie przekonać rolnika, że lepiej opłaca się często zmieniać plony na tym samym kawałku ziemi i duża ich różnorodność, nie siałby — jak u nas — przez 2-3 lata żyta w tym samym miejscu.

Wiedzę rolniczą i praktykę nowoczesną można zdobyć przez odczyty i zakładanie poletek doświadczalnych. U nas sprawa wiedzy rolniczej jest bardzo zaniedbana. Na terenie gminy Racina nie ma ani jednego kółka młecznikowskiego, nie było ani jednej wystawy rolniczej, nie odbywały się zebrań, nie były urządzane odczyty na tematy agrobiologiczne. Aktywny gminny w tym wypadku zaspali; nie interesuje się potrzebami terenu.

Dlatego po IX Plenum władze terenowe powinny przede wszystkim rozszerzyć czytelnictwo na wsi przez założenie punktów bibliotecznych w gromadach i zaopatrzenie ich w książki rolnicze. Nie wszędzie jest świetlica we wsi. U nas w Kosobudach świetlicy nie ma dlatego, że organizacje społeczne nie interesują się sprawami kulturalnymi. Istnieje koło ZMP, LZS, ZSCh, nie przejawiają one jednak na tym polu żadnej działalności.

Na wsi daje się odczuwać wielki brak ludzi, którzy chcieliby się poświęcić trudnej, a nie zawsze opłacalnej rewolucji kulturalnej. Jestem inwalidą wojennym. Nie mogę chodzić. Muszę jeździć na wózku, którego nigdzie nie mogę kupić. Nikt z aktywnego społecznego tym się nie interesuje.

Chętnie zająłbym się prowadzeniem punktu bibliotecznego. Mogłbym też wygłaszać odczyty z zakresu rolnictwa, bo znam się na tych sprawach. Niestety, bez pomocy władz terenowych, własnymi siłami nie jestem w stanie tego zorganizować.

Dziwię się, że aktywność społeczno-polityczną często nie dostrzega, czy nie chce dostrzegać bardzo jasnych zjawisk, które po IX Plenum trzeba zdecydowanie usunąć.

Sprawa pierwsza — to sprawa czynności i obrony interesów materialnych biedoty. Są jeszcze po wsiach kombinatory, którzy mają motory i po żniwach młócą zboże u rolników. Ale jak młóć? Mają już maszyny przestarzałe — zużyte; nie wymiatają one dobrze zboża, zostawiając od 5-15 proc. ziarna w słomie. Wielu gospodarzy ucale nie zdaje sobie sprawy ze strat, jakie ponoszą zarówno oni sami, jak i państwo. Takim motorem można w ciągu dnia omłócić do 80 q. Jeśli tylko 8 proc. zboża zostanie w słomie, to strata za dzień wynosi około 640 kg. A taka maszyna w sezonie omłotowym pracuje przeciętnie 100 dni. Łatwo obliczyć, jakie to poważne marnotrawstwo chleba.

Dlatego, moim zdaniem, powinna powstać specjalna komisja, która badałaby przydatność techniczną maszyn. Również trzeba więcej kontroli, aby właściciele maszyn nie pobierali dowolnych opłat od młoci. Np. ob. Kuchta pobierał w ub. roku za 1 godzinę młocki 30 kg. żyta i 10 zł dla pomocnika; ob. Jaśkiewicz — 25 kg. żyta; ob. Frankowski — 95 zł (maszyna z wialni).

Druga sprawa — to system gospodarowania przez rolników w przeciętnym, powiedzmy 5-hektarowym gospodarstwie w naszej wsi. Gdyby na mnie popadło — zacząłbym cykl wykładów na temat wiedzy rolniczej i podniesienia wydajności gospodarki chłopów z Kosobudów, od analizy dotychczasowego stanu.

Bo popatrzmy: rolnik 5 ha (klasa ziemi III i IV) hoduje u nas przeciętnie 1 konia, 2 krowy, 1 maciorę, 2 warchlaki, 1 tucznika i około 15 kur. Paszy dla tego inwentarza musi mocno skąpić, żeby go wyżywić.

Dlaczego? Dlatego, że planuje uprawę roślin polowych po dawnemu. W takim gospodarstwie wygląda ona przeciętnie w ten sposób: około 3 ha żyta, z czego zbiera ok. 24 q. 25 a. pszenicy, co daje ok. 3 q. ok. 75 a. ziemniaków — 100 q. owsa ok. 25 a. — 4 q. jęczmienia ok. 25 a. — 3,5 q. seradeli ok. 10 a. — 1 q. mieszanki ok. 15 a., co daje ok. 0,5 q. dobrej paszy.

Taki system uprawy jest z gruntu niewłaściwy, nie mówiąc już o wydajności, choć wpływa on również na obniżenie wydajności z ha. Dlaczego? Bo kłosoce, które mają olbrzymią przewagę, następują z konieczności prawie w połowie po kłosoce — i stąd niski plon zbóż. Na domiar złej gospodarci, nie posiadamy wartościowej paszy dla krowy, przez co w zimie prawie nie dają one mleka. To bardzo ogranicza hodowlę bydła rogatego, zmniejsza dochodowość gospodarstwa (mleko, tłuszcz, produkty mleczne — tylko dla rodziny) i pośrednio fatalnie odbija się na uprawie polowej. Nie ma bowiem dostatecznej ilości dobrego obornika na racjonalne nawożenie pól.

Biorąc pod uwagę tę nieodłączną współzależność produkcji roślinnej i zwierzęcej w gospodarstwie, podałbym pod dyskusję takie rozplanowanie hodowli i upraw polowych w przeciętnym pięciohektarowym gospodarstwie:

1) W zakresie hodowli powiększyłbym inwentarz o 1 krowę, dwie cielat (które zakontraktowałbym), 4 warchlaki, 1 maciorę, 3 tuczniki, 15 kur i 4 owce. Krótko mówiąc, hodowlę powiększyłbym niemal dwukrotnie. Wtedy uprawę zbożową trzeba by inaczej rozplanować. Wówczas ilość obornika znacznie się powiększy. Można też śmiało liczyć na duży wzrost wydajności doborze nawożonych pól. Ale trzeba będzie więcej paszy dla inwentarza — tak, aby krowa nie była jak dotychczas dla produkcji obornika, ale aby także przynosiła dochód.

2) W zakresie upraw polowych zasiałbym 150 a. żytem, co przy dobrej uprawie i solidnym nawożeniu powinno zapewnić około 24 q. zboża, jak z dawnych 3 ha przy stałym nawożeniu; pszenicy 25 a. — ok. 5 q.; jęczmienia 50 a. ok. — 12 q.; seradeli 40 a., co dałoby ok. 5 q.; mieszanki 30 a. — 3 q.; ziemniaków 100 a. — zbiór ok. 200 q.; buraków pastewnych i brukwi 25 a. — 100 q.; koniczyzny ok. 25 a. i roślin na kiszki ok. 20 a. Po życie i pszenicy siałbym zawsze spory kawałek rzepy ścierniskowej, a pozostałe pole zasiałbym poplonami.

W ten sposób można by zmniejszyć powierzchnię pod uprawę zbóż (nie zmniejszając dotychczasowego stanu ich produkcji), a zwiększyć uprawę okopowych i paszy dla rozwoju hodowli.

Oczywiście projekt ten jest z konieczności szkieletowy i w praktyce uległby tym czy innym ulepszeniom. Ale zasadnicze proporcje są — wydaje mi się — dla naszej gromady najstuszej. Trzeba powiedzieć, że gdyby u nas zorganizowano dobrą, mocną robotę oświatową, świetlicową — te wszystkie sprawy łatwiej byłoby wprowadzić w życie. Bo gospodarka, oświata i kultura idą zawsze razem.

Antoni Gajda
grom. Kosobudy
pow. Sierpe

K S I A Ź K A I E K O N O M I A

D o niedawna Stupsk był zapadłą dziurą; przemiany nader opornie torowały tu sobie drogę. Małorolność, niedawni formale dworcy, tradycyjnym sposobem siali żyto i ziemniaki. Choć krowy nie dojadły, nikt nie pomyślał o konieczności, lucernie czy seradeli.

Kiedy w gminie otwarto bibliotekę, pierwsze książki czytano przy naftowych smoluchach. Ale właśnie książka stała się pośrednią przyczyną przełomu. Kierowniczka biblioteki, ob. Majchrzak, z niezwykłą, jak na jej podeszłe lata, energią zabrała się do organizowania czytelnictwa, z początku wśród dzieci. One to właśnie zwały do biblioteki swych rodziców.

ROZNOBODNOŚĆ FORM PRACY

10-letni Janusz Zębalski — uczeń IV oddziału, nie lubi książek „dziecinnych”. Potrafi powtórzyć treść w „Okopach Stalingradu” Niekrasowa, „Dni i nocy” Simonowa, „Samotnego białego żagla” Katajewa; ta ostatnia książka szczególnie przypadła mu do gustu, bo — jak powiedział — „tam tacy sami chłopcy, jak ja, donoszą straszącą aunicję i robią rewolucję”. Januszka urzekła również postać Jarosława Dąbrowskiego, który „walczył w powstaniu, a potem musiał uciekać do Paryża i tam stanął na czele Komuny Paryskiej, by bronić miasta przed wojskami wersalskimi, bo te wojska, to były wojska kapitalistyczne”.

Pod wpływem lektury Gajdara, Januszka zakłada z gronem kolegów szkolnych Drużynę, Timurowską czyniącą we wsi wiele hałasu, ale i przynoszącą wiele pożytku. Janusz nie dał spokoju nawet ojcu. Ob. Zębalski z humorem opowiada:

— Gdy Janusz chodził do pierwszej klasy, denerwował się, że nie potrafi samodzielnie przeczytać książki. Musiałem go w tym wyręczać.

Synowski „przymus” rozmawiał z ojcem w książkach; jest on dziś jednym z gorliwszych czytelników.

Podobnie działo się i w innych rodzinach; wkrótce biblioteka gminna miała już dorosłą klientelę. Zaczęli ją odwiedzać nawet bardzo młodzi ludzie, jak Anna Szymańska, Janina Turkowska, małżeństwo Milczarków, zawiązały dyskusyjną nad każdą przeczytaną książką, 86-letnia Maria Kurowska...

Ob. Majchrzakowska stosowała w swej pracy różne formy. Bardzo jej pomogło głośne czytanie i dyskusje w zespolech. Prawdziwą kampanię dyskusyjną przeprowadziła nad „Ulaną” Kraszewskiego i „Martą” Orzeszkowej.

— Patrzcie — mówiła im — tamte miały facha w ręku, a nie znalazły pracy, Ulanę nawet chłop porzucił i unieszczęśliwił. Ode mnie też mąż odszedł, zostawił mi troje dzieci, ale się państwo mną zajęło, dało pracę i zadowolenie...

Na jednej z akademii w szkole wyszły na scenę dzieci porzeczające za bohaterów dyskusowanych książek i publiczność miała pożyteczną rozrywkę w zgadywaniu ko-

go postaci te przedstawiają. Łatwo przyszło odgadnąć postać Marty czy Janka muzykanta, ale znacznie trudniej w alegorycznym symbolu „lalki” przyszło czytelnikom odnaleźć klasyczne dzieło Prusa.

15 punktów bibliotecznych w gromadach, trzy zespoły czytelnice w samym tylko Stupsku (niezorganizowanych, Ligi Kobiet i Kola Gospodyń Wiejskich), do których wkrótce dojdzie czwarty, zetempowski, 600 czytelników (z czego 229 w Stupsku), tytuł przodującej biblioteki w

choć przez gminę przebiegała linia kolejowa, dostać się do miasta z towarem lub po zakup było niemożliwością, jako że najbliższa stacja znajdowała się w odległości kilkunastu kilometrów.

Choć wielu gospodarzy skąpiło grosza, myśl ta zyskała poparcie aktywniejszych działaczy partyjnych i społecznych oraz nauczycielstwa. PKP otworzyło na linii kolejowej aż trzy przystanki kolejowe. W ślad za tym gmina otrzymała elektryczność, urząd pocztowy i kino. To

niezwykle charakterystyczne przesunięcia w strukturze społecznej ludności Stupski. Zasadniczą rolę odegrało niewątpliwie połączenie kolejowe z Mławą, Siedlcami, Ciechanowem i innymi miastami okręgu. W większości małorolni gospodarze gminy — dzięki kolei — mogli przyjąć stałą pracę w miejskich zakładach przemysłowych, nie odrywając się od swych gospodarstw, zaś młodzież wiejska znalazła atrakcyjny i znacznie tańszy niż poprzednio sposób zdobywania wiedzy w mieście.

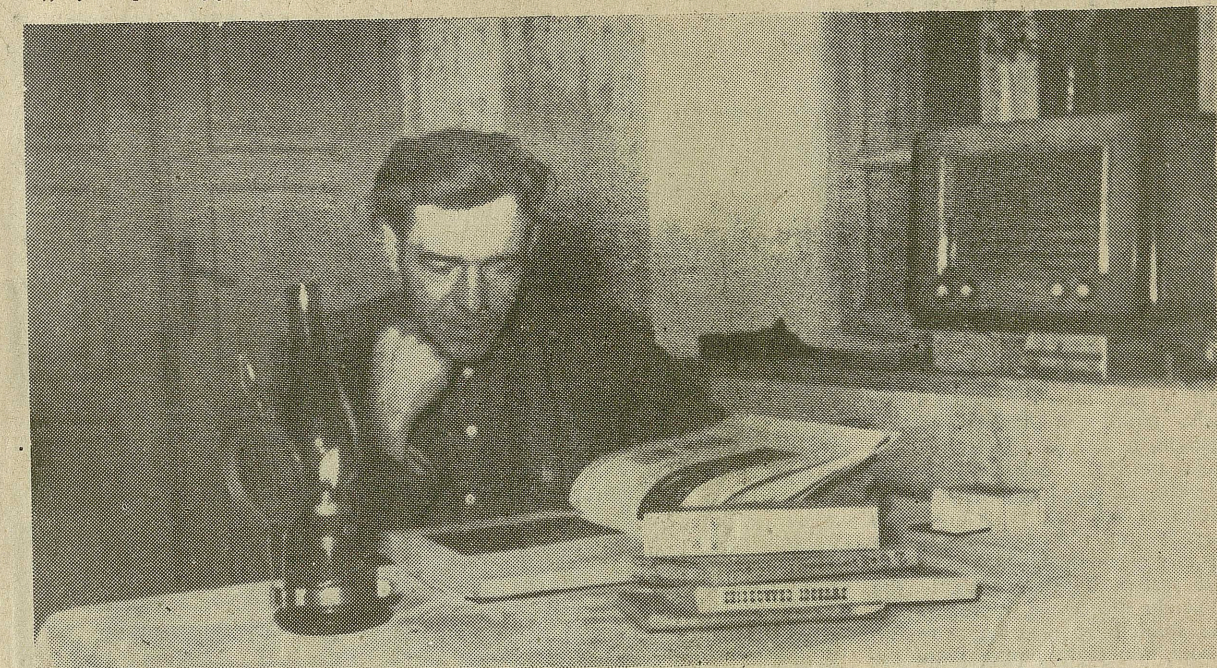


Foto — A. Musiał

powiecie — wszystko to stanowiło dobieg dwuletniej pracy ob. Majchrzakowej.

INICJATYWA GOSPODARCZA...

Na tak szeroki rozwój czytelnictwa złożyła się nie tylko praca samej bibliotekarki. W grę weszły tu także istotne zmiany gospodarcze, jakie zaszły na terenie gminy w 1952 roku. Właśnie wtedy byli pierwszymi inicjatorami „awansu cywilizacyjnego” swej gminy.

W życiu tak często bywa, że jedno zjawisko wywołuje następne, że jeden bodziec wyzwala inny. Charakterystyczny jest pod tym względem przykład ob. Cichockiej — jednej z aktywniejszych czytelniczek, przewodniczącej Kola Gospodyń Wiejskich. Czytelnictwo otworzyło przed nią szersze perspektywy kulturalne, odświeżyło nowe możliwości. Cichocka zasmakowała w muzyce i w sztuce aktorskiej. Dziś nie ma w Stupsku imprezy bez jej udziału. Najwięcej jednak pociąga ją muzyka, a zamilowaniem do niej było tak silne, że któregoś dnia postanowiła założyć u siebie radio.

Nie łatwo było zrealizować ten plan. Właśnie nie posiadała elektryczności. Dla Cichockiej jednak nie było żadnych przeszkód. Zmówiła się z innymi kobietami z zespołu czytelniczego i Kola Gospodyń. W czasie długich, wieczornych debat postanowiono prosić odpowiednie władze o elektryfikowanie gminy. Przy okazji wypłynęła sprawa połączenia kolejowego z Mławą, bo

SKUTKI TEGO AWANSU

I oto staliśmy się świadkami interesującego zjawiska: czytelnictwa inicjatywa zapoczątkowała szereg istotnych zmian i procesów ekonomicznych w gminie, które z kolei wyznaczyły kierunek akcji czytelnicej. Bo propagator czytelnictwa winien być nie tylko „książkomanią”, lecz nade wszystko człowiekiem umiającym z faktów i wydażeń wysnuć prawidłowy kierunek działania. Jest to zadanie o tyle trudne, że — jak wykazał przykład Stupski — długo się nie raz do niego dojrzy. Dopiero wielki i silny bodziec odświeża jego nieaprecjalną słusność. Oto co opowiadał mi ob. Stanisław Zębalski — sekretarz prezydium GRN w Stupsku:

— Pan sobie nie wyobraża, jak trudnym do niedawna terenem była nasza gmina. Plan odstaw i kontraktacji nie jest w terminie wykonywany przez chłopów; nader opornie szło ściąganie należności podatkowych. Nie mówię już o niepokojącej inercji w sprawie podniesienia poziomu gospodarki rolniczej i hodowlanej. Zebrania poświęcone tym zagadnieniom w zupełności się nie udawały.

I wyobraź pan sobie: po IX Plenum — jakby nożem uciął! Szerokim strumieniem popłynęły do punktów skupu chłopskie odstawy, do gminy — podatki. Jesienią pęd do wyprzedzających uległ nagle zahamowaniu i każdy gospodarz starał się zatrzymać swój przychówek; krowy, która kosztowała 2.000 zł dziś za 3 tysiące nie kupi, zaś prosię, za które dawniej chłop 200 zł nie mógł dostać, dziś kosztuje co najmniej 300 zł. Gdy dawniej w Stupsku na zebranie nie można było zwać żadnego chłopca, obecnie sala ich nie mieści i chłopcy sami domagają się szkolenia rolniczego, o którym przedtem nie chcieli nawet słyszeć. W niewielkiej gromadzie Jeżyńscy chłopcy samorzutnie postanowili wyhodować o 40 cieląt więcej niż poprzednio (niektórzy aż po 6 sztuk) i to na parę miesięcy przed deklarowanym terminem; wielu zaś zdecydowało się całkowicie przestawić swą gospodarkę na hodowlę.

W ten sposób uchwały Partii i Rządu stały się niezwykle skutecznym sejsmografem nastrojów wsi. Chłop spod Mławy we właściwy sobie sposób potwierdził głęboką słusność i mądrość tych uchwał. Ale czyżby dopiero teraz chłopcy spostrzegli i odczuli opiekę państwa? Czyżby dopiero po IX Plenum doszli do wniosku, że polityka Partii jest słuszną?

Odpowiedzi szukać musimy w zmianach, jakie w Stupsku już zaszły. Ulatwily one niesłychanie kontakt wsi ze światem, zadecydowały o szeregu istotnych zmian, nie tylko natury gospodarczej, dokonały rów-

Wystarczy powiedzieć, że w samym tylko Stupsku znalazło zatrudnienie 60 chłopów. Poznając robotnicze środowisko, przyjmując elementy robotniczej świadomości mieszkancie Stupski nie przestawali być jednocześnie chłopem gospodarującym na roli. Kolej otworzyła przed nim korzystny i bezpośredni — bo wykluczający handlowe pośrednictwo — rynek zbytu na produkcję rolniczą, umocniła go w roli producenta dóbr rolniczych.

Oto fakty, które pokazują, że już na długo przed IX Plenum państwo ludowe stworzyło tamtejszym chłopom olbrzymie możliwości rozwoju zarówno na własnym podwórku — przez rozszerzenie rynku wymiany towarowej — jak i na zewnątrz — przez pracę w przemyśle, przez dodatkowy zarobek. A trudno w tym rachunku pominąć niebagatelną rolę elektryfikacji, poczty, GS i innych urządzeń, które stanowią o dodatkowym mnożeniu dla chłopskiej sakwy i chłopskiej kultury.

Jednak chłop nie potrafił w pełni wykorzystać pozytywnych wartości, jakie niosła im kolej, elektryfikacja, poczta i inne urządzenia, otrzymane od państwa. Doprowadziła on do swego rodzaju skrzywienia funkcji gospodarczej swych gospodarstw, swego warsztatu produkcji, swej wsi. Wiele z nich, znalazłszy pracę w przemyśle, zaczęło zaniedbywać swą ziemię.

Wielu gospodarzy nie pracujących w przemyśle, a mających świeżo jeszcze w pamięci okupacyjny okres spekulacyjnej „prosperity” — tak charakterystyczny dla terenu mławskiego — dzięki otwarciu aż trzech przystanków kolejowych, z chęcią powrócili do dawnego procederu, w pełni korzystając z możliwości bezpośredniego dojazdu do konsumenta. Ta grupa chłopów najściszej była związana z warsztatem rolniczym, ale związane to nastawione było na uzyskiwanie tylko doroznych i szybkich korzyści materialnych. Taki chłop nie łatwo dawał się skusić na nowoczesne metody uprawy roli i hodowli, bo wymagało to długich wysiłków, inwestycji, zdobywania nowej wiedzy rolniczej itp. Chłop, zamiast być producentem, stawał się handlarzem.

Niewątpliwie do wymienionych już przyczyn doszły jeszcze przyczyny niezależne od chłopca, jak powszechne na tym terenie zjawisko wygórowanego skłasyfikowania ziemi, a co za tym idzie — większe świadczenia, słaba materialnie siła dopingu premiowego przy odstawach, wielokrotnie stwierdzane nierówność działań kulturalnych i politycznych, umiejętnie wykorzystywane przez nieliczne, ale silne gospodarczo miejscowe kulakstwo.

PLENUM WYZNACZA KIERUNEK

Jak poruszone przez nas zagadnienie przemian ekonomicznych w gminie Stupsk oddziaływa na pracę biblioteki? Jakże z nich wypływają dalsze wnioski dla pracy czytelnicej?

(Dokończenie na str. 4)

ALEKSANDER ZIEMNY

ODWIEDZINY

Przyjacieliu, młodemu lekarzowi
wiejskiemu Włodkowi M-rze

Ależ piękne obejście! I gospodarz na schwał!
A powietrza stąd chyba na zapas wzięło.
Dziwy, dziwy się dzieją... Gdyś wyruszał z miasta
tyle się użalano nad młodym doktorem.

I w tobie tkwiła drzazga. Wierzyleś w ich lament,
że z dala od stolicy, że przepadnie w głuszy...
A dzisiaj, odmieniony, ściskasz moje ramie:
są maszyny z remontu, patrzyć, orka ruszy!

Ufność rodzi się w próbach. Wiedzą — wszystko rzuca
i na nocne wezwanie zaraz spieszy w drogę,
aby ulżyć gdy dziecku zapalą się płuca,
stajennemu ratować pocerniałą nogę.

Dobrze, że ci skrócono termin dojrzewania.
Ręka nabrała wprawy, a oko bystrości,
myśl pożyła się wahań i serce się skłania
by dzielić z ludźmi wszystkie bóle i radości.

I kiedy, przed północą, skroń ująwszy w dłonie
chłopi medytują, czekając twej rady —
spod brwi siwych i jasnych płynie ciepły promień:
Zrósł się z naszym losem. Swój człowiek. Z gromady.

* TEZY *

LUDMIR RUBACH

W VIII rocznicę proklamowania Albańskiej Republiki Ludowej

PRZEDZIAZDOWE
O UMYSŁY I SERCA

C o robi przeciętny, zdrowo myślący człowiek gdy widzi np. chirurga, odrzucającego od stołu operacyjnego do wycianiania... lasu, albo elektrotechnika, zajmującego się zasadniczo produkcją ram do obrazów? Oczywiście, że się oburza. Nie tylko dlatego, że ciągle za mało jeszcze mamy w Polsce lekarzy i elektrotechników. Jest dla nas zupełnie oczywiste, że każdy powinien robić to, co umie najlepiej i do czego nieraz latami się przygotowywał. Bo tylko taka praca da mu największą radość, a społeczeństwu — największe pożytki.

Jest jednak jeden zawod, o którego przedstawicielu panuje nieprzeobrażone przekonanie, że może jednocześnie robić wiele najrozmaitszych rzeczy. To nauczyciel, szczególnie zaś nauczyciel wiejski. Człowiek, na którego barkach spoczywa obciążenie odpowiedzialności za wychowanie pokolenia budowniczych socjalizmu i komunizmu, człowiek realizator rewolucji kulturalnej, a więc i politycznej, ofiarą wojny i wojny. I właśnie fakt, że te wielkie zadania są nie do pomyślenia bez aktywnej postawy społecznej powołuje, iż wiele ogniu terenowych i organizacyjnych trudów nauczycielstwa, jako swą główną, a czasem — wyłączną bieżącą pracę, ze wyłącza to ich od szukania i rozszerzania aktywności społeczno-kulturalnego na wsi.

Jest jeszcze pół biedy, gdy nauczyciel spełnia jedynie funkcje, nazywamy je, doradczą czy opiniotwórczą. Wyraza się to w udziale w niezliczonej ilości rad, komisji, komitetów stałych, przygotowawczych i organizacyjnych, akumemtu ku czci, wigiliu z powodu itd. Do niektórych z tych imprez nauczyciel wnosi istotny wkład i jego praca jest rzeczywiście niezbędna. Często jednak jest inaczej. Nauczyciel jest do wszystkiego, nawet do... odszczepiania, jak tego niedawno zażądała jedna z rad narodowych w woj. poznańskim. Słynny jest też, a bynajmniej nie odosobniony wypadek skierowania do nauczyciela w jednym tylko miesiącu 40 ucznia na różne cebranie i uroczystości. W rezultacie — co raz to nowy dzień nauki zmarnowany.

A potem dzieci kończą szkołę bez znajomości ortografii, Kochanowski „staże się” w ich pracach i pojęciach wybitnym działaczem robotniczym, a zajęcia społeczne nauczyciela znajdują zaskakujące echo w chemii, odkrywającej pewnemu uczniowi z Orłowej, iż gaz ziemny występuje „w nierozdzielalnym sojuszu z ropą naftową”.

Czyż jest ważniejsze zadanie dla nauczyciela niż dobre, rzetelne spełnienie swoich podstawowych obowiązków, niż stałe podnoszenie poziomu nauczania? Czy możemy pozwolić na utrudnianie mu krzewienia wśród młodzieży wiary w słuszność linii naszej partii, rozbudzania u uczniów dumy narodowej z naszych osiągnięć?

A przecież nauczyciel — to także doradca i pomocnik starszego pokolenia. To jego przyszłokolegów, młodszych kolegów są już w wielu okolicach dobitnym przykładem nowych metod gospodarowania; to on przede wszystkim likwiduje przesady i zabobony, codziennie i w coraz szerszej skali rozwija kulturę na wsi.

„Szkoła — mówiła tow. Micińska z Lubelskiego na krajowej naradzie aktywów nauczycielskiego — jest głównym ośrodkiem kulturalnym naszej wsi. Chłopi zbierają się w izbie szkolnej, rozmawiają z nauczycielami, proszą o pomoc i wskazówki. Wieczorami zmienia się jej charakter, staje się jakby drugą szkołą — szkołą dla dorosłych”.

Oczywiście, dobrych wyników pedagogicznych ani zajmująca ludność nie zapewnią sam dyplom nauczycielski. Dlatego szczególnie ważny jest problem młodych nauczycieli. Bo na nich właśnie przerzuca się większość zadań i „czarne roboty”, dopóki nie „zajadą się” do granic wytrzymałości ludzkiej nie przystępując do pracy. Nie jest dziwnym, że zdarza się, iż młody nauczyciel, obciążony nadmiernymi obowiązkami zaniedbuje się w swej pracy pedagogicznej. Połącza to za sobą niechęć do zawodu, konieczność badań porzuceniem go, bądź też przekształceniem niedawnego ambitnego absolwenta w rzemieślnika (w tym tego słowa znaczeniu).

Stąd też młodym nauczycielom należy się specjalna pomoc. Konieczna jest opieka nad tymi, którzy jeszcze wczoraj stali z drugiej strony katedry. Trzeba stworzyć im należyte warunki do szybkiego wcielenia się w proces nauczania, w życie szkoły i jej otoczenia. Dużą pomoc nieść tu mogą kolego absolwentów liceów pedagogicznych, ich narady i zjazdy. Jeszcze za mało jest troski władz oświatowych, ZNP i ZMP. Czy nie warto pomyśleć o jakiejś specjalnej poradni, placówce interwencyjnej czy nawet o odpowiedniej inicjatywie wydawniczej dla młodych pedagogów.

A obok tego, nie mniej ważne — sprawy bytowe. Tu znówu potrzebna pomoc rad narodowych i organizacji partyjnych. Ile z nich zajmowało się dotąd tymi sprawami? Ile rad poszło za przykładem woj. łódzkiego i poświęciło osobne sesje omówieniu realizacji uchwały rządu o dostarczaniu nauczycielom bezpłatnych mieszkań, opatu i podwód?

Nie można przecenić i wyolbrzymić tych starań i tej pomocy, jaką winien otrzymać nauczyciel wiejski właśnie w tej chwili, po IX Plenum. Przecież w pojęciu podwyższenia stopy życiowej mieści się także wzrost produkcji i konsumpcji dóbr kulturalnych, pogłębianie pracy wychowawczej i pedagogicznej. „A jakże odcinek — pisał Józef Cyrankiewicz — wymaga czulszej opieki, niż taki kluczowy odcinek walki o umysły i serca młodego pokolenia, jakim jest szkoła”.

Z. K.

Światła wyznaczające drogę

T irane, stolicę Albanii, otaczają wieńcem strzelistych szczytów i panoramą skalistych zboczy góry Daiti. Liczne, bystre potoki płyną urwistymi wąwozami. Poją zimną, ożywczą wodą roślin, drzewa, ptaki i zwierzęta — florę i faunę gór Daiti.

W rozległej śródgórskiej dolinie, w żarze bałkańskiego słońca przez długie dziesiątki lat, jedne po drugich pokolenia mieszkańców Tirany za najcenniejszy skarb uważali wodę. Zanim władza w Albanii przeszła w ręce ludu, Tirana dotkliwie cierpiała na brak wody.

Obecnie Tirana jest czystym, zelektryfikowanym miastem. Nikt tu nie odczuwa braku wody i światła. Wodociąg zbiera wodę źródłaną wodę górskich potoków Daiti i kieruje ją do stolicy. U podnóża gór wznosi się potężna elektrownia im. Lenina, która zaopatruje Tirane i jej młody przemysł w energię.

Światło i wodę Tirana zawdzięcza zwycięstwu państwa Rewolucji Październikowej nad faszystami. Światło i woda w Tiranie — to najbardziej widoczne, najbardziej bezpośrednio odczuwane przez każdego Albańczyka i najbardziej rewolucyjne zjawisko tej doniosłej przemiany, jaką lud Skiptarów przeżywa od

państw feudalnych. Lud albański przez kilka wieków dźwigał twarde jarzmo tureckiej niewoli, skutki łanuchami wyzysku przez feudalnych paszów i bejów. Z kart historii Albanii bije czerwona łuna hardych wspomnień o Skanderbergu, bohaterze narodowym, któremu nawet polski pisarz Teodor Tomasz Jeż poświęcił trytomową powieść „O byt”. O byt, o prawo do samostanowienia niepodległego istnienia kilkakrotnie podejmowali walkę albańscy górale z cudzoziemskimi najazdami.

*

Dwa lata temu w pogranicznej wsi Szapka, na skłonie wysokiej góry, pokrytej gęstym dębowym lasem, miejscowi chłopci zbudowali dom dla swego sąsiada z tej samej gromady, Chamdi Bogdaniego, który pasie stada owiec na górskich pastwiskach. Chamdi Bogdani zasłużył na wdzięczność współobywateli i uznanie władzy ludowej. Odkrył on grupę dywersantów przezebranych przez granicę z tytułowskiej Jugosławii, a gdy przestępcy znaleźli się w jego zagrodzie, nie zawahał się ani przez sekundę. Spłonął stary dom, lecz w jego



pastuch z nieznanej do niedawna wsi, zagubionej w trudno dostępnym terenie wsi albańskiej. Jego myśli i jego słowa są myślami całego ludu Skiptarów i wyrażają jego niezłomne pragnienie i zdecydowaną wolę kroczenia po drodze budownictwa socjalistycznego. Nowy dom pastucha Chamdi Bogdaniego, wzniesiony przez całą gromadę, jest drobnym przykładem — jednym z tysięcy — jednoci narodu albańskiego w pracy i walce o socjalizm.

*

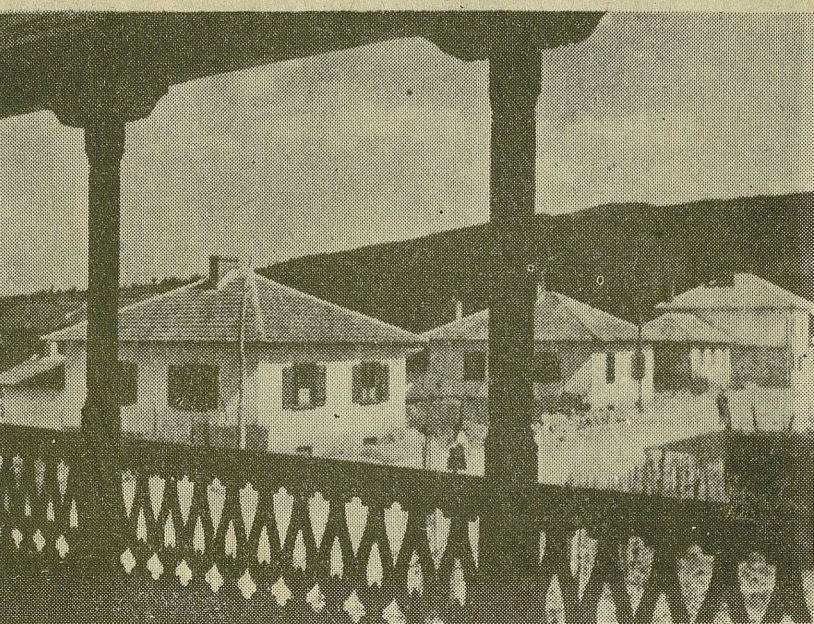
Dzięki zwycięstwom Armii Ludowej i albańskiej armii ludowo-wyzwoleńczej w listopadzie 1944 r. zrzucona została okupacja faszystowska.

W wyniku pierwszych wolnych wyborów Narodowe Zgromadzenie Ustawodawcze proklamowało 11 stycznia 1946 r. Albańską Republikę Ludową. Państwo Ludowe przekazało do rąk pracujących chłopów plantacje tytoniu i oliwek, winnice, sady owocowe, pastwiska. Spełniając wolę ludu rząd przystąpił do likwidacji wielowiekowego zacofania. O zacofaniu Albanii przedwojennej mówią takie fakty, jak całkowity brak linii kolejowych, szpitali, wyższych uczelni, teatrów. 85 procent ludności stanowił analfabeci.

*

Ziemia albańska produkuje doskonałe gatunki tytoniu. W przeszłości złoty tytoń albański hodowany był wielkim nakładem chłopskiej pracy prymitywnymi, przedwiecznymi metodami, a cudzoziemscy handlarze wykupywali go po śmiesznie niskich cenach. Dziś lud albański buduje nowoczesne instalacje, służące do suszenia i przerobu tytoniu. Tuż pod miastem Szkodra czerwienieją na tle błękitnego nieba hale wielkiej fabryki tyto-

Ludmir Rubach



chwili wyzwolenia swej górskiej ojczyzny z faszystowskiej tyranii.

*

Droga ludu albańskiego do realizacji w sobie ideałów Wielkiej Rewolucji Październikowej, do budownictwa socjalistycznego porządku społecznego, była trudna, bardziej trudna niż innych narodów, które tworzą obóz pokoju i demokracji. Mała górską krainą, zajmująca korzystne, strategiczne położenie nad Adriatykiem, była od stuleci żerem dla sąsiadujących z nią

złiszczach zginęli wrogowie ludowej ojczyzny.

„Partia, władza ludowa i towarzysze Enver Hodza — powiedział później Chamdi Bogdani — uczynili nas gospodarzami naszego kraju, dali nam prawo do ludzkiej egzystencji. Jestem szczęśliwy, że udało mi się choć w ten sposób odwdziżyć Partii. To, co zrobiłem nie da się porównać z tym, co ona dla nas robi”.

Tak myśli i zgodnie ze swymi myślami, w których odnalazł nie trudno odbicie ideałów Rewolucji Październikowej, postępuje chłop-

KAZIMIERZ DĘBNICKI

Północ i Południe

„Li Syn Man chce być Waszyngtonem Korei” — oświadczył niedawno z niedowzważną kpinką Charles B. Brownson — członek Izby Reprezentantów (sejmu Stanów Zjednoczonych), powróciwszy z podróży do Korei Południowej.

Należy przypuszczać, że Li Syn Man natknął sam pana Brownsona do użycia tego wątpliwej wartości i wątpliwego sensu porównania. Jako — że w tym samym czasie, kiedy amerykański kongresman składał swoje oświadczenie — dyktator południowo-koreański stwierdził ni mniej ni więcej, że po upływie 90 dni przewidzianych dla zwolnienia konferencji politycznej dla spraw Korei — POMASZERUJE WYZWALAC KOREĘ POŁUDNIOWĄ, W KTÓREJ LUDNOŚĆ GŁODUJE.

Jasne, że tego rodzaju chętnie i kłamliwe tryadki Li Syn Mana cokolwiek śmieszne trzęsące człowieka interesu — Brownsona i skłaniają go do karykaturalnie komikalnych porównań.

Należałoby jednak pomówić trochę o tym, jak to się dzieje w „państwie” Li Syn Mana, na wzór którego chciałby on „organizować” całą Koreę, a jak to się dzieje w północnej, rządzonej przez lud części kraju. Jak to jest u „wyzwolieli”, a jak u tych, których Li Syn Man niepomny „prześtawnego lania” chciałby na gwałt „wyzwolić”.

Nie podejrzanie o sprzyjanie komunizmowi prawicowemu pismo francuskie „France Illustration” płołem swego korespondenta, Paul Musseta, pisało niedawno o Korei Południowej:

— „Dyktatura Li Syn Mana opiera się przede wszystkim na policji... Korea Południowa jest nie tylko krajem, gdzie się nie dojadą, ale jest ona prócz tego dla Koreańczyków krajem lęku: lęku przed zimnem i, co najgłośniejsze, lęku przed urzędnikami, szpiclami i policją...”

Zas cytowany już p. Brownson powiedział coś więcej w swoim oświadczeniu, coś, co m. in. wyjaśnia i głód, i chłód, i lęk, i policyjny system dyktatury południowo-koreańskiej. Pan Brownson podał do wiadomości, że kosztem 2 milionów dolarów wznosi się w Seulu, przede wszystkim na żądanie Li Syn Mana — luksusowy hotel z zimowymi ogrodami, pokojami do picia coca-cola itp. itd. Jak twierdzi Brownson, budowa tego hotelu pochłania wszystkie, szczerpe zapasy walut obcych skarbu południowo-koreańskiego, w czasie, gdy 25 tysięcy osób w Fusanie nie ma dachu nad głową.

— „Do czasu zakończenia hotelu — pisał Brownson — wstrzymano budowę szkół, szpitali itp., a pomoc techniczna dla głodnego i zziębniętego narodu musi czekać”.

Takie są oto dwa wynurzenia politycznych przyjaciół Li Syn Mana — Francuza — prawicowca i — parlamentarzysty, reakcyjnego polityka — Amerykanina. Stoją one w jaskrawej sprzeczności z brednieniami dyktatora Południowej Korei o jego „wyzwolielijskiej misji”.

A tymczasem w Północnej Korei, którą tak pragnie „wyzwolić” Li Syn Man i w której, jak on twierdzi, „ludzie głodują” — obroty handlu artykułami spożywczymi urosły np. w r. 1952 trzykrotnie wobec roku 1951, obroty handlu obuwem — dwukrotnie, a ogólne obroty handlowe o 213 proc. W rolnictwie w r. 1952 obszar zasiewów wyniósł (jeden tengu — 0,992 ha) przy 347188 — 435292 tengu w r. 1947.

Plony produkcji rolnej w tonach kształtowały się nast.: 673.427 w r. 1952 i 627.137 w r. 1947.

Tak więc w czasie niszczycielskiej wojny, w której wg źródeł amerykańskich, na każdej kuli karabinowej wystrzelonej w Korei koncern zbrojeniowy Dupont de Nemours zarabiał 5 centów, Korea Północna podwyższyła areal pól uprawnych i wzbogaciła plony rolne, zwiolokrotniając z roku na rok masę towarów spożywczych rzucających na rynek.

A przecież właściwa praca, właściwy rozwój pokojowej produkcji zaczął się dopiero niedawno, gdy ku wielkiej żałości Li Syn Mana na ziemi koreańskiej umilkły strzały. W tym to okresie w 70 proc. ukończono już odbudowę mostów i tuneli, w samym Phenjanie główna ulica — Aleja Stalina zabudowuje się na całej długości 4—5-piętrowymi gmachami, powstaje tam piękny teatr dla ludzi pracy stolicy, obliczony na 5.000 miejsc, trwa odbudowa wielkiej cementowni w Synhori, stalowni w Nampho, Zakładów Metalurgicznych im. Kim-Czaka.

Dzięki budowie 20 nowych fabryk tekstylnych, do których 2.250 tkalni automatycznych, dostarczą ZSRR — w najbliższych już latach, przy zwiększeniu zbiorów kokonów — Korea Północna produkować będzie — 50 milionów metrów tkanin jedwabnych.

I, żeby zakończyć tę bardzo niepełną listę, dodajmy, że już w bieżącym 1954 roku elektrownia Suphunska produkować będzie trzykrotnie więcej energii niż w r. 1953.

Tak się to dzieje w kraju, który całkiem nieudany Waszyngton — Li Syn Man chciałby „wyzwolić” i „organizować” na modłę Korei Południowej. W kraju, gdzie wro odbudowa, gdzie na pewno nie jest ani łatwo, ani lekko żyć, ale gdzie nie ma „lęku przed głodem, lęku przed zimnem i lęku przed policją” Li Syn Mana.

No, cóż Li Syn Man ma prawo do marzeń, snutych w luksusowym hotelu, budowanym kosztem nędzy materialnej i kulturalnej narodu. Są to jednak marzenia nie do zrealizowania.

Tkaczka Li Mion Su, nad której warsztatem, widnieje proporzec z napisem:

„Chwała towarzysze, która wypełniła plan miesięczny w 130 proc. i wykonała towar najwyższej jakości”.

Ta tkaczka z Północnej Korei jak i miliony jej siostr i braci nie pragnie „wyzwolenia” przez Li Syn Mana. Potrafia, jak już to wykazała, „wyzwolić” odeprzeć. Razem z chińskimi przyjaciółmi, którzy nie zarabiają milionów na wojnie, jak amerykańscy akcjonariusze koncernów i trustów, ale którzy obok daniny krwi składają Korei daninę pracy. 2.000 mieszkań zabudowanych przez chińskich ochotników, szpital budowany przez nich w Phenjanie, czy 518-metrowy most nad Taedong — oto ich dzieło. „Wyzwolieli” w rodzaju Li Syn Mana Koreańczykom nie trzeba. Na północny kraj jasno świeci stonice Wolności. To samo, które świeciło prawdziwemu Waszyngtonowi. Chmury są na Pałacu.

Kazimierz Dębicki

Wieś w warunkach kapitalizmu

„ZDOBYCZE”
OŚWIATY

W każdym tygodniu ub. roku oddawane były w naszym kraju do użytku cztery nowe obiekty szkolne. Wiele spośród nich wzniesiono na wsi. Państwo nasze, którego główną troską było zapewnienie powszechności nauczania, stara się dziś, by to nauczanie odbywać się mogło w coraz lepszych warunkach.

Tak jest u nas. A jak wygląda szkolnictwo w krajach, w których rządzi kapital? W krajach, w których obecni ich rządzący chlubią się „zachodnią cywilizacją” i marzą, by w jakimś pochodzie krzyżowym uraczyć nią również nasz kraj? Ich „troskę” o oświatę pokazują nam wyjątki z oficjalnych dokumentów i wypowiedzi prasy zagranicznej, jakie ukazały się w ciągu r. 1953. Dotyczą one przeważnie krajów rolniczych, dane te odnoszą się więc przede wszystkim do wsi.

„Przešlo połowa ludzkości nie umie ani czytać ani pisać”.

Rada Gospodarczo-Społeczna ONZ: „Sprawozdanie o sytuacji społecznej na świecie” za rok 1952, z rozdziału pt. „Ani mieszkań, ani szpitali, ani szkół”.

„Mapa głodu pokrywa się z mapą obszarów niedostatecznie rozwiniętych, tzn. krajów kolonialnych i półkolonialnych. Oczywiście, w obskurantycznej szani gen. Franco tylko co „trzęsące dziecko uczęszcza do szkoły początkowej”. Ale w Indiach lub Boliwii stosunek wynosi jedno do pięciu: przeważającej części Unii Francuskiej jedno do dziesięciu, a w Kongu Belgijskim — jedno do dwunastu”.

„Democratie Nouvelle”, Paryż, czerwiec 1953 r.

„Ankieta przeprowadzona niedawno przez Ministerstwo Oświaty wykazała, że na całym terytorium Hiszpanii na 3.968.916 dzieci, które powinny uczęszczać do szkół, faktycznie uczęszczało tylko 1.522.785. Oznacza to, że według tych danych rządowych — 50 proc. dzieci hiszpańskich nie uczy się nawet czytać i pisać. Dla porównania: w roku 1948 budżet przeznaczony na szkolnictwo wyniósł 13 mln pesetów, podczas gdy na budowę koszar i baraków dla policji, której pełno było w każdym miasteczku i w każdej najmniejszej wiosce, przeznacza się 43 mln pesetów”.

„Co roku rodzi się w Hiszpanii 6.000 nowych milionerów, gdy rocznie liczba analfabetów wzrasta o 3 proc.”.

„Unita”, Rzym, 4.10.1953 r.

„W rejonie Ciudad Real władze frankistowskie opodatkowały analfabetów w wieku od 13 do 21 lat. W ten sposób ci, którzy sami są odpowiedzialni za analfabetyzm, chcą „karać” swe ofiary”.

„Mundo Obrero”, podziemne pismo w Hiszpanii, listopad 1953 r.

„W szkołach podstawowych brak jest 80 tys. sal szkolnych...”.

„Avanti”, Rzym, 10.10.1953 r.

„W Indiach 83,4 proc. ludności — to analfabeci. Spośród dzieci w wieku od 6 do 11 lat tylko 40 proc. może uczęszczać do szkół”.

Hinduski Komitet Przygotowujący do IV Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów.

„Z 2,5 mln Afrykańczyków (w Nyassie) jedynie 6 proc. jest piśmiennych. Połowa dzieci nigdy nie chodzi do szkół, reszta zaś kończy swą edukację na pierwszych oddziałach szkoły podstawowej...”.

„Tribune”, Londyn, 27.11.1953 r.

„Dokument ONZ dotyczący oświaty na terytoriach zależnych zawiera dane dotyczące Kenii. Z danych tych wynika, że cała ludność nieafrykańskiego pochodzenia — mniej niż 4 proc. ogółu mieszkańców — otrzymała ok. 59 proc. funduszy przeznaczonych na oświatę”.

„...budżet przeznaczony na szkolnictwo dla Europejczyków w Tanganice był w 1951 roku 29 razy wyższy niż dla Afrykańczyków. Co więcej, uposażenia nauczycieli Afrykańczyków wynosiło w 1951 r. 10 proc. uposażenia europejskiego nauczyciela”.

„...w Ameryce Łacińskiej brak jest jeszcze ok. 250 tys. szkół podstawowych oraz 750 tys. nauczycieli”.

„Z wyjątkiem Ruandy, we wszystkich krajach Ameryki Południowej analfabeci stanowią większość ludności. Ich liczbę powiększają jeszcze półanalfabeci, którzy stanowią 2/3 ludności. Ci ludzie — mimo, że się kiedyś uczyli czytać i pisać — nie wiedzą, co to znaczy przeczytać gazetę lub książki”.

„Imprensa Popular”, Rio de Janeiro, 11.11.1953 r.

„Szkoly wiejskie, w których uczy się 13 mln dzieci, tj. prawie połowa wszystkich dzieci szkolnych, to w większości wypadków jednoizbowe ubogie chaty”.

„Zaden szanujący się farmer — oświadczył przewodniczący Krajowego Stowarzyszenia Oświaty, dr Howard Dowson — nie umieści swych świń w ruderach, które często służą za lokale szkolne”.

„...zaledwie 4 proc. dzieci murzynskich kończy szkołę średnią; 75 proc. nie ma możliwości ukończenia nawet szkoły podstawowej”.

„Prawda”, 4.9.1953 (korespondencja z USA).

„...geografia chorób jest jednocześnie geografą głodu i ciemnoty. Na mapie zakreślone są obszary niedostatecznie rozwinięte. Jest to podział geograficzny biednego koła, składającego się z chłob, nędzy, niedożywienia i niedostatecznego rozwoju produkcji. Z łatwością można zauważyć, gdzie należy przetrwać to koło, ale znacznie trudniej jest powiedzieć, jak to zrobić”.

Rada Gospodarczo-Społeczna ONZ. „Sprawozdanie o sytuacji społecznej na świecie”.

Trudniej? Ależ, panowie z Rady Gospodarczo — Społecznej! Unieście swój wzrok z nad biednego koła kapitalizmu! My wam pokazujemy, jak to zrobić!

(k)

STANISŁAW PIĘTAK

O D J A Z D

(Fragment powieści)

Karol przybył z Warszawy w ostatnim tygodniu maja, by zlikwidować gospodarstwo i zabrać żonę i dzieci.

Dzień był pogodny i ciepły, akacje poczynaly rozkwitać, żyta już wysypały się: były wysokie i gęste, że i rosła cień mogłoby się w nich schować.

Nie zastał Zosi w domu, dom był zamknięty, dopiero w głębi ogrodu spotkał ją siedzącą pod jabłonią-papierówką i karmiącą z piersi małego Piotrusia.

— Chorowałaś chyba, takas blada — wybałał.

— Dobrze, żeś przyjechał; jakże te dni się dłużyły! Wyjeżdżamy co prędzej!

— Nie można tak od razu, trzeba wszystko pozatapiać.

— Karolu, tu żyje się teraz naprawdę niepewnie, jedźmy stawczo jutro.

— Co się stało?

— Codziennie hulają, co noc strzelanina taka szaleje, że wapno leci z chałup.

— Milicji nie ma?

— Jest, ale i wśród nich widać są wrogowie, dają się przecież rozbrajać jak wróble.

— Karolu, gdzie ty się ukryjesz? Przecież tu co krok szpiegi... Wynuchają wszystko; co robisz, gdzie śpisz.

— Już ja się zadekuję na te trzy dni.

— Stepień uciekł do miasta, ktoś go napadł i chciał udusić. Ludzie mówią, że dawny sołtys to zrobił.

— Z rodziną się przeniosł?

— Tak, nawet matkę zabrał.

Odstawiła dziecko od piersi i odetchnęła głęboko.

— Ja nie biorę w tutejszym życiu udziału, do mnie nie mogą mieć pretensji — szepnął Karol.

— Myślisz się, mają do ciebie urażę straszną, rozszarpałby cię, gdyby mogli.

— Nie im złego nie zrobiłem.

— Mój drogi, tu nikt nie kieruje się rozumem; tu działa tylko ślepa nienawiść. Jesteś pepeerowcem, nie jesteś ich, więc chociaż bylibyś nawet najlepszym człowiekiem, zabiją cię, jak muchę, i jeszcze będą uważać, że spełnił dobry uczynek.

Zosia mówiła to z nienawiścią i bólem. Podeszła już do Karola i oddawała mu dziecko na ręce, oparła się o jego piersi. — Nie przesadza, przecież banda była chyba dwa razy u nas i pytała się o ciebie, o twój adres w Warszawie.

Karol skrzywił się, spochmurniał.

— No cóż, w ciągu dnia nie zdolamy wszystkiego załatwić, wyjeżdżamy jednak, Zosiu, pojutrze, na to ci daję słowo.

— Tak trzeba, zobaczysz, że mam rację...

Likwidację gospodarstwa przeprowadzili w pośpiechu, ale bo też nie wiele potrzeba było likwidować; w obórce była tylko jedna krowa, konia już dawniej sprzedali, świń nie było, ni gęsi, kur też mało.

Pole, którego było niecałe trzy morgi, wydzierżawił Izidor Wilk — chłop zachlanny na ziemię, jak pies na krwawe mięso; krowę, łózkę, stół i inne drobniaki oddał ojcom do Sielca, pozostałe rzeczy, służące przeważnie do osobistego użytku, zdolali zapakować w dwa duże kosze z wikliny i istotnie w dzień po przyjeździe Karola byli już gotowi do drogi.

Pociąg mieli jednak dopiero nazajutrz o 10-ą z rana. Musieli więc przebyć jeszcze jedną noc w Wielowiejsku, przespacerować się na słone wśród ogłocionych, pustych ścian.

Karol był ostatnimi czynnościami silnie wzruszony.

— Coś chcesz — mówił do Zosi — każda cząsteczka ziemi tu znam, każde drzewko, każdy krzak. I do ziemi można się przyzwyczaić, jak do bliskiego człowieka.

Wieczór powoli zapadał, plac przed spółdzielnią był pusty, nie figlowały na nim dzieci, jak zwykle, nie gromadzili się ludzie; przynębienie z racji napadów podziemia dawało o sobie znać na każdym kroku, wisiło jak tęża na zmęczonych, cierpiących twarzach.

Już po zachodzie przyszedł Franek Mleczko z drugiego końca wsi.

— Podobno bardzo niespokojnie jest na wsi? — pytał Karol.

— Niby tak, bandy pukają, niuchają, mszą się na biednym chłopie, jak moga.

— Tyś dostał ziemię?

— Dwa i pół hektara i nawet ja już obślałem.

— Groził?

— Tak, byli ze trzy razy, ale ja udaję głupka, odpowiadam im tak, że nie wiele z tego pojmują.

— Nie długo już będą tak sobie hasać z karabinkiem, nie bój się, Franek.

— No, myśle. Śladu z nich nie będzie. Jo się znam na tym.

— Należysz do jakiej partii?

Mleczko mrugnął niemal łobuzersko okiem.

— Kulik był, mówił mi nawet o tobie; zaczynał już organizować robotę. Na razie jest nos trzech, jo, młody Regula Bronek i jego szwagier, no, ten ślusarz, Bałys.

— Zwróć uwagę na Małka, to rzetelny, mocny chłop.

— Ale zatwardziały ludowiec; zaraćbać by się doł za te ich zielone sztandary.

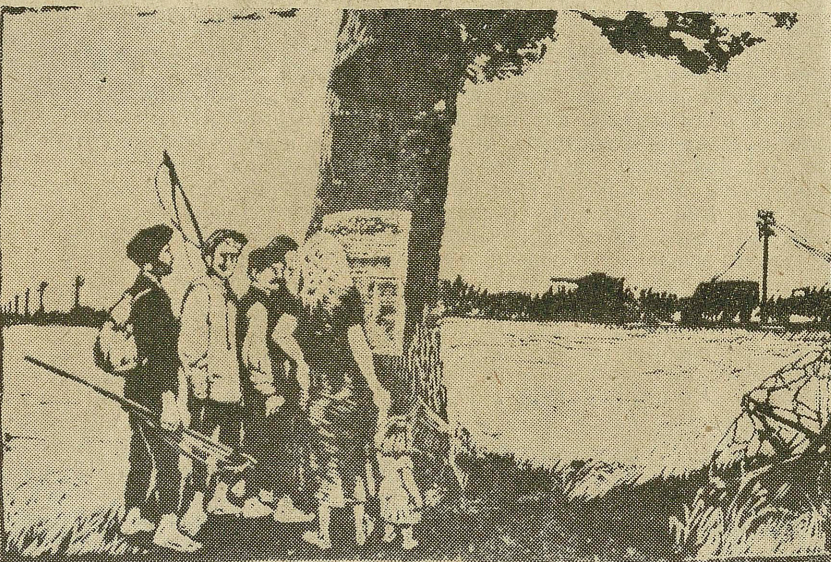
— A Węgiel Michał?

— Z tym już lepiej — mruczał Mleczko i męczył naburmuszoną, niespokojną Zosię, by wypić z nim wódkę.

— Dajcie mi spokój; ja siedzę jak na węglach, jutro nas czeka całodzienna jazda z dziećmi — oburzała się Zosia, a jednak wypila.

II

W nocy Zosia prawie nie zmrzyla oka, a ledwie świtać poczynalo ruszyła do Sielca, by przyspieszyć przyjazd ojca. O napadzie na Sudolów i potwornym skatowaniu Michasia dowiedziała się dopiero.



Mal. Jerzy Panek

Manifest PKWN

gdy wracała do wsi, jadąc z ojcem na jednokonnej furce. Drogą szedł Gargula, zarosnięty jeszcze bardziej niż zwykle i zaspany, lecz gdy zobaczył Zosię, obudził się w zupełności i zamachał niespokojnie rękami.

— Uciekaj, kobito, uciekaj, bo przyjdą znowu i zabiją!

— Kochanego Michasia Sudola omal nie zatłukli — opowiadał.

— Jakże bajki cała wieś o tym mówi. Zna się takie rzeczy, kochana pani! myślicie, że nasi ludzie z Wielowiejska nie byli z bandą? — byli...

Dojechała do domu, nie zamieniając z ojcem prawie słowa. Ojciec siedział blady, w ciągu niewiele minut zeschł i żółki na twarzy jeszcze bardziej; wyglądał jak rzeźba zwiedla, pobrudzona ziemią i

— Dzieci jeszcze śpią. Moja Józia ich tam pilnuje, niech pani się nie boi.

Zosia już otworzyła kluczem drzwi i naraz stanęła na progu i odruchowo przytrzymała dłońmi serce, bo było w niej tak, jakby chciało rozsądzić ścianki ciała.

— Nie lepiej, żeby pani coś zjadła; ledwie pani trzyma się na nogach; my sami załadujemy, nieprawda, Wojciechu? — szepnął znowu Małek.

— Pewnie, ona chodzi przecież bez rozumu — zaburzał Kołodziej, lecz sam był wystraszony bardziej niż córka.

Ładowali na wóz już drugi koszyk, gdy przy wrotach pojawił się Mleczko. Był dziś ubrany i wygo-

lony, jakby wybierał się do miasta, twarz miał pogodną i życzliwą.

— Dzień dobry — zawołał — ale pani majątek zebrała, mieli też ludzie czego wam zazdrościć.

— A to wy? dobrze, że przyszedliście — bąknęła Zosia.

— Klucze chciełom dostać, będę się dzisiaj przeprowadzał.

— Stuszenie, trzeba jak najszybciej.

— No, ale przedtem pomogę, pojedź z panią na stację. Wojciech przecież sam nie dać rady, koszt by ich przyduł do ziemi.

Śmiał się już i poszturchiwał Kołodzieja.

— Nie bójcie się, napakujemy se siana pod koszulę na plecy. Napadną, będą bić, to przynajmniej tak nie będzie boleć...

Zosia uczyniła się obecnie trochę lżej na duszy, poszła po dzieci, wypila garnuszek przegotowanego mleka u Małkowej, zakaściła go chlebem i po kilku minutach była gotowa do drogi. Nikt z sąsiadów prócz Małków jej nie odprowadził.

— Bywajcie zdrowi, może i ruszacie na zawsze — powiedziała blada wysoka Małkowa i niespodziewanie rozbeczała się na progu.

— Wio, wio, Łysy! Jedziemy po szczęście, a nie na pogrzeb — krzyknął Mleczko i przesunął zawadlako na bok zielony kapelusz.

Zosia siedziała z dziećmi w tyle wozu na wiązce ukreślonej jęczmiennej słomy. Trzymała Piotrusia na kolanach, obok stała czarnooka, żywa Kryśka, oglądając się co chwila na wszystkie strony.

— Gdzie my, mamó, jedziemy? — pytała już któryś raz z rzędu.

— Do Warszawy, córunku.

— Do Walsiawy? A co to jest Walsiawa?

— Miasto, duże miasto.

— Większe niż nasze? — wskazywała stojący na wzgórzach, zanurzony w promieniach słonecznych Sandomierz.

— Większe...

Wyjeżdżali już na główną szosę, gdy mały Piotrus, który pokwakał już od pewnej chwili, rozplakał się gwałtownie.

— Mosz chociaż dło niego coś do picia — spytał z nieopuszczającą go nutką złości w głosie Kołodziej.

— Dam mu piersi, ja go jeszcze karmię piersią.

Przystawiła Piotrusia do piersi i w tej postawie siedziała spokojnie, nie zważając na wystraszony, bądź ironicznie spojrzany ludzi, którzy ją mijali.

Wytrącił ją z równowagi dopiero hałaśliwy i aż tryskający wesołością śmiech, który usłyszała za swymi plecami. W całym pędzie przejechali naraz na rowerach prawą stronę szosy Chapa i Marysia Bielecka.

— Powodzenia, powodzenia! — wołała Marysia, odwracając twarz przesłoniętą fruwiącymi lekkoimi, jasnymi lokami, chichotała jednak w dalszym ciągu. Chapa nie odwrócił się wstecz; choć znał się z Zosią, siedział jak przykut do siodełka w swej białej koszulce i wojskowych brzoyszach.

Na stacji, która obecnie mieściła się w barakach przy drodze na Rozwadow, bo budynki właściwe zostały zniszczone w czasie bitwy ubiegłego lata, zajechali na 9-tą, a więc na jakąś godzinę przed odejściem pociągu.

Zosia odetchnęła dopiero, gdy znalazła się w wagonie.

Gdyby mogła, przypielaby lokomotywie skrzydła, byle prędzej wyjechać z tych stron, gdzie bała się chodzić.

— Prędzej, prędzej! — szeptała — niech się to wszystko już zamknie za mną. — Popłakiwała potem po kryjomu i tuląc Piotrusia, całowała go i śpiewała mu nostalgiczną kołysankę.

Pociąg do Ostrowca szedł kiedyś 2 godziny, obecnie jednak wlokł się niemal pół dnia, przejeżdżał przecież przez zniszczone całkowicie działaniami frontowymi okolice i musiał zwalniać biegu w każdym niepewnym miejscu.

Zosia w pierwszej chwili, gdy pociąg zatrzymał się, nie zobaczyła wśród tłoczących się ludzi Karola i schwyłał ją strach gwałtowny. Karol jednak był, wyszedł gdzieś spod krzaka, pod którym chyba spał, bo jego ubranie było pobrudzone — i kiwał ku niej ręką.

— Więc co tam było, potrzeba to było naprawdę wyrwać z domu? — spytał.

— Śladź, śladź i mów ciszej.

— Zosiu, ty się ledwie na nogach trzymasz; co ci jest, dlaczego tak źle wyglądasz?

— A bo nie spałam — bąknęła i śpiesząc się, opowiedziała mu wszystkie zdarzenia, jakie zaszły w nocy.

— Takie buty... — szepnął i przez chwilę stał, jak oniemiały. Naraz schylił się, usiadł obok żony, objął ją mocno i przytulił, bo leciała mu przez ręce.

— Draństwo! — zaklął — co za draństwo!

— W imię ojczyzny, mówią, to robią — zaszlochała.

— W imię obory dworskiej, powiedz lepiej.

— Księża też ich wspierają.

— Bo głupi.

— No, nic, będziemy razem, będzie nam już dobrze. Ja wierzę w ciebie, jak w nikogo na świecie.

Karol tulił ją wciąż do siebie, uspokajał i pytał już o Michasia, co się z nim teraz dzieje?

— Nic nie wiadomo, podobno skrzywdzili ciężko — odparła cicho.

Stanisław Pięta

ERNEST STRITTMATTER

ROK NIEURODZAJU

Twórczość Ernesta Strittmatta nasi czytelnicy częściowo poznali w nrze 47 „Wsi”. W ub. roku zamieściliśmy bowiem fragment jego powieści pt. „Tinko”. — „Rok nieurodzaju” jest utworem wyjętym z nie wydanego jeszcze w Polsce nowego zbioru opowiadań pt.: „Eine Mauer fällt” („Mur pada”). Akcja toczy się w pierwszych latach po wojnie w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Strittmatter był do niedawna robotnikiem rolnym. Dziś jest jednym z tych pisarzy, którym umożliwiła start literacki zmiana ustroju we wschodniej części Niemiec.

(RED.)

ZNISZCZONY działaniami wojennymi las w poświacie księżycowej. Szczek menażek. Zawieszona bluza „führera”. Malaria we krwi. Czy może to sobie pan wyobrazić?

Jakiś pies zwiertzył mnie i zaszczekał. Był to jedyny pies w całej wsi. Nie, tego pan sobie nie potrafi wyobrazić.

Widział pan wprawdzie „führera”, lecz ja widziałem jego wszy.

W czasie, kiedy ja byłem zawieszony, pan był nieobecny. Powiedział mi to białe pale, stojące w polu w odległościach co 100 kroków.

W świetle księżycy odczytywałem wypisane na palach cielskim ówkiem nazwiska: Urban, Schmidt, Gerber. Nie musiałem nawet dwa razy popatrzeć, by zrozumieć, że pan jest nieobecny. Dla takich jak my, to jest ważne. Zna się każda grudek ziemi i każdy ślad ogniska na roli. Było się tu przecież przez 20 lat poganiaczem wółw.

Brendel, Matthe... a tu było, tak, pan się zdrwił... tu figurowało moje nazwisko. „Kochana Herta — pomyślałem równocześnie — więc ona żyje...”, a potem... lecz to przecież pana nic nie obchodzi. Dla tych spraw jest pan za obojętny.

Diabeł wie, skąd ona wzięła w roku 1945 te sadzeniaki. Nie miałem jednak czasu, by ją o to zapytać. Jej jedyną radością był mój powrót.

Kopaliśmy kartofle wczesnym rankiem zanim jeszcze słońce zdolało stopić z kapusty srebrnoszarą powłokę mrozu, kopaliśmy wieczorem, kiedy już poświata księżycowa załamywała się na wypolerowanych w piasku motykach, gdyż masywny do kopania kartofli odkupili od pana na kilka dni przed naszą ucieczką trzech kulacy — wasi przyjaciele. Pan już wie jak — no nie?

Przetrawiliśmy wreszcie zimę, idąc ziemniaki i zacierki z maki. Nadejście wiosny powitałem okrzykiem: „niech będzie uwielbiona ziemia i promienie słońca”.

Na wiosnę, w dniu kiedy do obładu zjawiała się na półmisku pierwsza główeczka sałaty ze stojącymi ziemnymi listeczkami, strókana Herta zapytała mnie wprost: czy wytrzymam nadal.

Kuzyn Gustaw przywiózł nam z Saksonii dwie kury. W zamian za to zabrał ze sobą nasioną roślin oleistych. W ten sposób nam pomagano. Naszą krowę Bellę pozostawił nam komendant postoju.

Mieszkaliśmy wówczas — tam gdzie zawsze — w małych czworakach. Gerber, ja, nasza krowa, kury i koza Gerbera. Później doszła jeszcze do tego maciora — Emma. Spaliśmy jedno obok drugiego. Cóż mieliśmy robić? Jak pan wie, stajnie zniszczone nam podczas działań wojennych. Dopuszcila do tego „SS” pod dowództwem tego majora, którego pan ugaskał w ostatnich dniach pańskiego pobytu tutaj. Pan odszedł, a on miał utrzymać linię frontu. Niczego jednak nie utrzymał — nie dotrzymał słowa.

Rok 1946 był rokiem chwał. Cień góry białych, podobnych do robaków korzeni wydobylśmy z pańskich, nie z naszych pól. Och, jak dobrze czuły się kartofle bez tych pasożytów!

W międzyczasie nauczyliśmy się niejeden. Również tego, że musimy sobie wzajemnie pomagać, jeśli chcemy do czegoś dojść, jeśli chcemy pozostać na roli.

„Samopomoc Chłopska” szanowny panie! Mogę sobie wyobrazić pańską rozdławioną gębę. Czarodziejska formułka. Dzięki niej otrzymałmy maszyny do kopania kartofli i inne potrzebne w gospodarstwie.

Kulacy zmiekl, gdy wyrzekliśmy ową czarodziejską formułę. Naturalnie żaden z nich nie rozporządzał dowodami dotyczącymi kupna od pana. Czyżby zabrakło panu atrymentu? Dlaczego nie użył pan swej niebieskiej krwi do zapisania ziemi, dla której wygnaliście nas na wojnę?

W każdym razie kartofle w roku 1946 były przepiękne. Dostawę obowiązkową nikogo nie bolały.

Kopce z ziemniakami stały gęsto rozsiane w ogródkach. Buraki cukrowe obrodziły wspaniale. Obcho-

dziliśmy pierwsze dożynki. Bez pańskich beczki piwa, oraz bez pańskich „patriotycznych” przemówień wojennych.

Zobaczmy jak to pójdzie — oświadczyła pańska teściowa, która na pewno nie było dobrze. Chwasty były wprawdzie usunięte, nie potrzebowałyśmy zwozić ich już furami na ścięgła, a kółko i bławatników starczyło już zaledwie na bukiety dla mieszcuchów.

Nie zawsze było dobrze. Dlatego mamy upiększać. W roku 1947 na pewno nie było dobrze. Chwasty były wprawdzie usunięte, nie potrzebowałyśmy zwozić ich już furami na ścięgła, a kółko i bławatników starczyło już zaledwie na bukiety dla mieszcuchów.

Ziminy jednak nie dopisywały. To się przecież może zdarzyć. Na zimę bowiem nie ma się wpływu. Ale może być, jak chce — byleby tylko kartofle obrodziły.

Ziemia była sucha, była już nawet za sucha. Nie było nawet tyle deszczu, co pajak napluje. Cóż mieliśmy robić? Nawet „Samopomoc Chłopska” nie może jeszcze spowodować deszczu. Najlepszy okres na sadzenie kartofli upłynął na oczekiwaniu. Myśleliśmy ciągle: A może jutro przecież spadnie deszcz? Musielśmy zarzykować zasadzić kartofle w rozpalony jak popiół piasek. Trzeba czasem ryzykować. Z oczyma pełnymi łez powiedzieliśmy więc sobie: — A więc wkładamy w popiół kartofle do piecznia.

Wreszcie spadł upragniony, obfity deszcz.

— No widzisz — powiedziałem wtedy do Herty. Wkrótce ciemnozielone listki przebiły się przez ziemię. Wykopaliśmy ugotowane na słońcu „kartofle w mundurkach”. Na ich miejsce posadziliśmy nowe. Sadzeniaków mieliśmy dosyć. Mogliśmy sobie na to pozwolić.

Wszystko zdawało się być w porządku. Świeciło słońce. Świeciło jednak za mocno, jak na tę porę roku. Nać ziemniaczana zwiędła. Naszym chłopskim sercom groziło to samo. Jak widzę, pan się śmieje. Myśmymy jednak jesienią plakać.

Przynajmniej Herta. Niektóre ziemniaki nie były bowiem większe od jej lez. Znowu staliśmy z motyką w polu od piania kogutów aż do krzyku sów. Cóż mogli nam pomóc maszyny? Zagrzebałyby nam tylko tę odrobinę ziemniaków.

Spadł wreszcie deszcz, lecz nie mógł już uratować kartofli. Spadł jednak w sam raz dla brukwi. Jesli tylko deszcz spadnie, zawsze jest dla czegoś potrzebny. Sądymy więc brukiew. Gdybyśmy tylko mieli wystarczającą ilość brukwi! Nasza czarodziejska formułka przysłała nam znowu z pomocą. „Samopomoc Chłopska” sprowadziła sadzonki brukwi z Saksonii, czy skądinąd.

Och, jak wzdychaliśmy przy obowiązkowych dostawach kartofli! Niech się pan śmieje, łaskawy panie! Zaledwie odrobina kartofli w piwnicy. Zaledwie tu i tam jakiś koplec.

Czy wyobraża pan sobie co to znaczy jeść brukwie przez całą zimę? Jeśli nie, to nie zasługuję pan na to, by mieć swoje włosy.

Był okres Bożego Narodzenia, a czasami było ciepło jak na wiosnę. Piwnice na kartofle puste. Spragnieni ich podkradaliśmy się do kopców z kartoflami przeznaczonymi do sadzenia. Na wiosnę, po otwarciu kopców, nie można już było po prostu wytrzymać. Pan sobie chyba przypomnia, że ożymy również nie dopisywały. Biada temu, kto nie posiadał już brukwi! Biada temu, kto nie umiał utrzymać swego apetytu na wodzy! Ten czerpał z zapasów kartofli przeznaczonych do sadzenia. Przynajmniej, że pracować przy kartoflach, a jeść brukiew, to męka. Również Herta i ja pewnej niedzieli ulegliśmy pokusie. Lecz tylko tej jednej niedzieli.

Mój Boże! Potem nadszedł okres sadzenia. Niektóre młode gospodarstwa byłyby pozostały bez kartofli do sadzenia, gdybyśmy nie byli znali naszej czarodziejskiej formuлки. Początkowo wyglądało na to, jak gdyby nie miało się udać.

Nadeszła wiosenna niedziela. Nie zapomnę jej nigdy! Zaprzęgliśmy konie i pojechaliśmy jak demokrację do miasta i wsi. Zebrałmy dla naszych pól. Tu ćwierć cetnara, tam kilka funtów. Nazbierało się. W tym czasie kartofle były cenniejsze od złota. Powróciliśmy wieczorem do wsi.

Przewodniczący Samopomocy Chłopskiej wybiegł naprzeciw nas. „Jesteśmy uratowani!” — krzyknął.

— Naturalnie jesteśmy uratowani — odparliśmy wskazując na wóz.

Nawet gdyby nie miało starczyć? — odrzekł przewodniczący.

— W jaki sposób? — zapytałismy.

— Związek Radziecki, Polska, Czechosłowacja dostarczą nam kartofli do sadzenia — odparł.

To był rok małego urodzaju kartofli, mój panie. Jednak był to rok, w którym wyprowadziliśmy się z czworaków do nowego pięknego domu: Gerber i ja. Każdy do swego.

A ziemniaki? Niech pan zobaczy w tym roku. Na dożynki zabiłmy maciorę Emmę. Nie płynie chętnie o tym. Człowiek przyzwyczaił się do zwierzęcia. Mieszkaliśmy z nim w tym samym pomieszczeniu. Lecz teraz już hoduje się prosieta. Pan powie na pewno: „najgłupszy chłop ma największe kartofle”. My natomiast mówimy: rozsądnie było jednak zadowolnić się małym, by dojść do wielkiego.

Przełożył z niemieckiego Stanisław Huczek

XXX ROCZNICA ZGONU LENINA



Mal. W. Sterow

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

LENIN

Ja, będąc jeszcze dzieckiem, to imię słyszałem (strach przed nim pokrywano kpina i szyderstwem) i w moją młodość wrosło, i burze przetrwało, by myśla być i troską, co przepełnia serce.

I w mój wiek męski wrosłeś, Ty — trwalszy nad rzeczy co otaczały życie — i miłaję z życiem.

I życie nasze także przeżyje, Iljczu, Two imię, które śmierci nieuchronnej przeczy.

Mej córce je powtórzę — inaczej niż do mnie, pletli ludzie zbyt mali, by szczyty oglądać.

EGGA NIEWIESKA

WIELKI TŁUMACZ POEZJI WALCZĄCEJ

Powiedziano kiedyś o wielkim krytyku rosyjskim, Wissarionie Bielinskim, że nazwisko jego jak wieniec laurowy oplata nazwiska tych poetów i pisarzy, których znaczenie i nie przemijająca wielkość zinterpretował w swoich artykułach. Nazwisko wielkiego poety polskiego, Juliana Tuwima, na zawsze pozostanie związane we wdzięcznej pamięci potomnych nie tylko z jego własnym dziełem poetyckim, lecz także z arcydziełami literatury rosyjskiej, które przyswoił mowie polskiej: z liryką Puszkina, z jego „Jedźcie Miedzanym”, fragmentami „Oniegiina” i „Poltawy”, bajkami, z niesmiertelnymi komediami Gribjedowa i Gogola, z liryką Niekrasowa i jego wielkim poematem, a właściwie epopeją chiopską — „Komu się na Rusi dobrze dzieje”. To jest trzon pracy przekładowej Tuwima, ale obejmuje ona i inne, drobniejsze pozycje.

Już w roku 1921 wychodzą Tuwimowskie tłumaczenia wierszy rosyjskich poetów-symbolistów — Balmonta i Brusowa, w tymże roku w „Skamandrze” ukazuje się cz. II „Obłoku w spodniach” Majakowskiego, później świetny przekład słynnej „Grenady” Swietłowa, fragmenty „Tragedyjnej nocy” Bieżmienińskiego.

W różnych okresach życia tłumaczył wiersze Wiery Inber, Ryckiego, Belwińskiego, Surkowa, Twardowskiego. W latach jednak międzywojennych interesuje się przede wszystkim klasyczną poezją i komedią pierwszej połowy XIX wieku.

Już od roku 1927 ukazują się w pismach fragmenty przekładu „Jedźcie Miedzanego”, poematu, w którym brzmi echa poetyckiej polemiki Puszkina z „Ustępem” III części Mickiewiczkowskich „Dziadów”. Całość ukazała się w roku 1932. Jak notuje bibliograf dzieł twórczości Puszkina w Polsce, „przekład Tuwima był rewolucją w zakresie adekwatności i artyzmu tłumaczenia”, był też punktem zwrotnym, od którego „datuje się wielki postęp w przyswajaniu poezji Puszkina literaturze polskiej. I to nie tylko dzięki dalszym przekładom Tuwima, ale również ze względu na podjętą i wpływ, jaki wywarł on na innych tłumaczy”. W tymże roku ukazało się w pismach krajowych i zagranicznych kilkanaście recenzji książki, a tłumacz otrzymał nagrodę polskiego PEN-klubu.

Po latach pięciu, kiedy cały świat kulturalny obchodził setną rocznicę śmierci Puszkina, ukazuje się w Warszawie w znanym wydawnictwie Przeworskiego tom pt. „Lutnia Puszkina”, zawierający wiersze liryczne i kilka urywków z większych poematów. I ten tomik spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności, która szybko rozkupiła nakład. Do sukcesu książki przyczynił się niewątpliwie nie tylko urok poezji Puszkina i sztuka tłumacza, lecz i społeczny sens dzieła największego poety rosyjskiego. Przecież w zbiorze znalazła się i część ody „Wolność”, natchniona przez utwór rewolucyjny Radiszczewa pod tymże tytułem, a skierowanej przeciwko deprecjacji prawa „tyranom świata”, znalazło się „Pismo na Sybir” — pozdrowienie poety dla skazanych na katęgę dekabrystów, zapewniające ich, że

Nie zginie wasz bolesny trud
I lot wysoki waszych myśli,

FRANCISZEK FREJ

W sprawie portretów wielkich twórców

PRZYGLĄDAJĄC się dekoracji naszych świetlic, szkół i bibliotek widzimy tam plakaty, fotomontaże, gazetki ścienne. Uderza w nich ubóstwo, często nawet brak artystycznie wykonanych reprodukcji obrazów naszych najlepszych malarzy oraz portretów naszych wybitnych poetów i prozaików.

Wiem z własnego doświadczenia, że zaopatrzenie szkoły w tego rodzaju pomoce naukowe kosztowało wiele starań i zabiegów. Trud ten jednak w pełni się opłacił; portrety, oprawione w ozdobne ramy, przyczyniają się nie tylko do bardziej estetycznego wyglądu sali bibliotecznej i klas; pomagają one przede wszystkim w upogodwieniu lekcji.

Zdobywaliśmy je w różny sposób. Jednym ze źródeł był album portretów pisarzy wydany przez Spółdzielnię „Czytelnik”. Były owszem portrety pisarzy Odrodzenia: Reja i Kochanowskiego; brak jednak było Górnickiego i Modrzewskiego — najwybitniejszego pisarza tego okresu. To samo powtórzyło się przy pisarzach wieku Oświecenia: Kollataja, Staszica i Śniadeckiego zdobyliśmy bez trudu; gdzieś natomiast nie mogliśmy znaleźć Jasńskiego. Czyżby brak ten był wynikiem niedoceniania nurtu jakobinistycznego w naszej literaturze? Stosunkowo mało kłopotu mieliśmy jeszcze z pisarzami okresu romantycznego (choćby portret Mickiewicza był wykonany wybitnie niestannie). W ten sposób zdobyliśmy zaledwie 12 portretów.

Poważne kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy zapagniliśmy kupić portrety pisarzy XX-lecia oraz pisarzy współczesnych. Do ich posiadania doszliśmy już inną drogą. Portrety

wyrażające niezłomną nadzieję i wiarę w nadejście innych czasów: Okowy swe rzucicie precz, Runą ciemnice, brzask zaświta. Wolność na progu was przywita I bracia wam oddadzą miecz.

Znalazł się tam wreszcie „Pomnik”, o wykutych jak gdyby w spiżu strefach, jedno ze szczytowych osiągnięć czarodziejskiej sztuki Tuwima. Po stu przeszło latach od powstania wiersza, w ciemni naddziękującej już nocy faszyzowskiej, w okrutnych „czasach pogardy” jakże dumnie dźwięczały słowa:

I naród w sercu mnie
po wieczny czas utwierdził
Za to, żeś lutnią w swój
nielitościwy wiek
Wystawiał wolność śmiać

i wzywał miłosierdzia,
I szlachetności uczuć strzegł.
Rewolucyjny, demokratyczny walor twórczości Puszkina, jej głęboko ludzka treść, jej subtelna, szlachetna uczuciowość, jej cechy narodowe i ludowe — wszystko to było cennym wkładem do skarbcza polskiej kultury, było poza tym pomostem do zrozumienia wielkiego narodu, którego dzieckiem nieodrodnym był poeta rosyjski. Lecz wzbudzenie uczuć podziwu i szacunku dla kultury rosyjskiej i spadkobierczyńi jej najbardziej postępowych tradycji — kultury ra-

ale to, że się dał porwać poezji Niekrasowa, świadczy o tym, iż poczułem priorytet) treści ideologicznej nad wartościami formalnymi, co nie znaczy, jako bym lekceważył wartości formy poetyckiej Niekrasowa.

Do Niekrasowa powrócił w roku 1948. W międzyczasie da nowe przekłady „Rewizora” Gogola i „Madremu biada” Gribjedowa. Oba utwory mają wartość nieprzemijającą, choć rozsypał się w gruzy ten świat ucisku, podłości i gwałtu, z którym walczyli ich autorzy. Odtwarzają przecież nie tylko określona epokę i stosunki społeczne, lecz dają galerię typów mających cechy ogólnoludzkie, wady i śmieszności trwalsze niż żywot jednostki czy pokolenia. „Madremu biada” jest dla tłumacza orzechem trudnym do zgryzienia. Żywy, celny, dowcipny, obfity język Gribjedowa stwarza barierę niełatwą do przebycia. Tuwim jednak wyszedł zwycięsko z tej próby: „trafił majster na majstra”.

Tuwim-satyryk wyzywał się nie tylko w przekładach epigramatów Puszkina, lecz i w przyswajaniu literatury polskiej plodów „karzącej liry” Gogola. Poza „Rewizorem” przełożył „Ożenek”, z prozy zaś — opowiadanie „Nos” i frag-

ment z „Martwych Duszy”, który ukazał się jako osobne opowiadanie pt. „Poranek dygnitarza”. Głęboko ludzki stosunek Gogola do „maluczkich” tego świata, który z taką siłą wyraża odbił się w „Szynele”, znalazł oddźwięk w duszy polskiego poety. Stworzył adaptację sceniczną „Szynele”, graną w latach przedwojennych w „Ateneum”, z Jaraczem w roli Akakija Akakijewicza Baszmażnikowa.

Z klasyków prozy rosyjskiej drugiej połowy XIX wieku przełożył „Las szumi” Korolenki i dwa opowiadania Leskova, pisarza o oryginalnym, bogatym, bardzo swoistym, trudnym do oddania języku. Nie mniejsze, choć zupełnie innego rodzaju trudności musiał pokonywać przy przekładzie największego zabytku piśmiennictwa staroruskiego, słynnego poematu bohaterskiego „Słowo o wyprawie Igora”, pochodzącego z końca prawie XII wieku. Już pierwsze tłumaczenie „Słowa o wyprawie Igora”, które ukazało się w roku 1928 w serii wydawnictw Biblioteki Narodowej, ze wstępem i objaśnieniami Al. Brücknera, zostało uznane za jedno z najlepszych w literaturze.

Bo trzeba z całym naciskiem podkreślić, że o ludzi swej ukochanej ojczyzny myślał jej zgasły niedawno syn, gdy w rozmowie o pracy nad przekładem poematu Niekrasowa powiedział: „...tłumaczowi nie wolno ani na chwilę zapominać, że jego praca przeznaczona jest dla najszerszych mas, dla najgłębszych warstw, dla setek tysięcy nowych czytelników, nie tylko zaś dla krytyków, historyków literatury, czy garstki smakoszy literackich”.

Z przekładów Tuwima wleje potężny, uszlachetniający wiatr wielkiej sztuki. I jako twórca, i jako tłumacz przyczynił się do pomnożenia wielkości kultury narodowej, a więc i kultury całej ludzkości, której pokój i szczęście były mu drogą. Gdyby widział, jak ciepłym błyskiem w oczach, z jak rozjaśnioną twarzą kupowano — jeszcze za życia Poety — tom jego „Nowego wyboru wierszy”, mógłby z poczuciem pełnej odpowiedzialności za słowo powtórzyć pierwsze zdania „Pomnika”:

Dźwignąłem pomnik swój,
nie trudem rąk ciosany,
Wydepnął ścieżki doń
miliony ludzkich stóp...

Egga Niewieska

- 1) Tu w znaczeniu: „równie zawartość treści, podobieństwo do oryginału”.
- 2) Marian Toporowski, „Puszkina w Polsce”, Warszawa 1950, str. 94.
- 3) Pierwszeństwo.

JAN MAKARUK

Pierwsze osiągnięcia IV etapu

ZOBOWIĄZANIE objęcia czytelnictwem 500.000 pracujących chłopów zostało wykonane — głosi komunikat Centralnej Komisji Konkursu Czytelniczego.

Przodownicy czytelnictwa z poprzednich etapów konkursu: bibliotekarze, członkowie organizacji masowych, kierownicy świetlic z pełnym zrozumieniem przystąpili do wykonania podjętych zobowiązań. Nie żalowali trudu i wzmoczonego wysiłku. Ciępliwie i systematycznie informowali i zachęcali do konkursu. Wykorzystywali różne formy propagandy czytelnictwa. Dobierali najbardziej skuteczne w ich gromadach.

Urządzały zebrania i wyjaśniały warunki i założenia konkursu. Sporządzały własnoręcznie afisze i wyszłały je w najbardziej widocznych miejscach. Redagowali ścienne gazetki gromadzkie poświęcone czytelnictwu i przodującym czytelnikom. Wygłaszali krótkie pogadanki przed wyświetlaniem filmów w kinach wiejskich. Na zebraniach gromadzkich, organizacjach społecznych odczytywali interesujące wyjątki z książek konkursowych. W świetlicach i bibliotekach urządziły wystawki książek przewidzianych w konkursie. Urządzały zebrania przy głośnikach w godzinach przewidzianych na komunikaty radiowe, który podawał wiadomości o konkursie. W niektórych miejscowościach wykorzystywały radiofonizowane wozy. Najsukcesowniej i najczęściej stosowaną formą pracy uświadamiającej było osobiste odwiedzanie mieszkań i przeprowadzanie rozmów na temat książek, czytelnictwa i założeń konkursu.

Niektórzy odwiedzając ludzi w mieszkaniach czytali najbardziej atrakcyjne wyjątki z książek konkursowych.

Zajmowało to wiele czasu, ale najsukcesowniej działało — stwierdziła Maria Konieczna ze Zbąszynia, Helena Grotek z Jabłoniskich, Władysław Wawrzyniak z Grodziska i wielu innych.

Nie szczędzili czasu, nie żalowali trudu i wysiłków, byleby podjęte zobowiązania wykonać z nadwyżką. I wykonali. W przewidzianym terminie zgłoszeń zameldowały Wojewódzkie Komisje Konkursu Czytelniczego 554.538 uczestników.

Zobowiązanie w skali krajowej wykonano w 110 proc.

Wyniki zgłoszeń są w poszczególnych województwach różne. Zależało to najwięcej od sprężystości działania komisji konkursowych i wchodzących w ich skład organizacji masowych. Tam, gdzie prace przygotowawcze — organizacyjne podjęto zaraz po ogłoszeniu konkursu, gdzie wykorzystano lepiej środki propagandowe, gdzie zdołano skoordynować prace wszystkich organizacji, tam wyniki były lepsze.

Największą ilość uczestników posiadała Poznań, który pierwszy zameldował o wykonaniu zobowiązania (na kilka tygodni przed terminem). Najwyższe przekroczenie planu uzyskał Olsztyn (154,5 proc.).

W obu wypadkach na tak pomysłne wyniki wpłynęło w bardzo dużym stopniu podjęte współzawodnictwo między powiatami. Szczególnie wystąpiło to w województwie poznańskim, gdzie powiat Nowy Tomyśl poprzez dobre zrozumienie i umiejętne przeprowadzenie współzawodnictwa z powiatem Gostyni uzyskał przodujące miejsce nie tylko w województwie, ale w całym kraju. Podjęte zobowiązanie 5.000 uczestników dwukrotnie przekroczył, uzyskując 10.011 uczestników. Co 8 mieszkańców wsi bierze udział w konkursie. W tym powiecie gmina Opalenica uzyskała najwyższą liczbę uczestników — 820 zgłoszeń. Znaczące przekroczenie zobowiązań wykazują województwa: Wrocław, Staliność, Kraków, Bydgoszcz, Zielona Góra i Rzeszów.

W Rzeszowskim na podkreślenie zasługuje wieś Zalesie, która uzyskała najwyższą ilość zgłoszeń wśród wszystkich gromad w kraju — 407 uczestników. Dobrze przeprowadzone zajęcia z książką w poprzednim etapie konkursu tak zachęciły ludność gromady do czytelnictwa, że obecnie prawie wszyscy mieszkańcy wsi, umiejący czytać i pisać, zgłosili się do konkursu. Zorganizowani w 36 zespołach przystąpili już do pracy.

Poza osiągnięciami, które dają się ująć liczbowo są również osiągnięcia natury polityczno — wychowawczej.

Należy podkreślić wpływ konkursu na wzrost aktywności kierowników bibliotek i punktów bibliotecznych na wsi. Realizacja podjętych zobowiązań wykazała, że nie wystarczy czekać aż czytelnik przyjdzie do biblioteki lub świetlicy i wypożyczy książkę do czytania. Trzeba było wyjść z książką do czytelnika poza bibliotekę i czytelnię. Tu dopiero nabierały właściwego wyrazu słowa Edwarda Ochaba sekretarza KC PZPR wypowiedziane na ogólnokrajowej naradzie bibliotekarzy: „Bibliotekarz w Polsce Ludowej — to działacz społeczny, to żołnierz rewolucji kulturalnej, to służa narodu budującego socjalizm pod przewodem klasy robotniczej”.

Dużym osiągnięciem wychowawczym jest skupienie w ramach komisji konkursowych aktywów różnych organizacji masowych, działających na wsi i zainteresowanie go zagadnieniami czytelnictwa. Nie wszędzie się to udało zrobić skutecznie, ale większość komisji stwierdza, że obecnie organizacje społeczne, masowe, żywiej się interesują książką i czytelnictwem. Członkowie organizacji masowych nie tylko biorą udział w konkursie, ale w większości wypadków są organizatorami, kierownikami zespołów. Przewodzą w tym członkowie Związku Samopomocy Chłopskiej, Związku Młodzieży Polskiej, Powołanej Organizacji Służba Polsce i Ludowych Zespołów Sportowych. Nawet stojące dotychczas na uboczu w upowszechnianiu czytelnictwa. Ochotnicza Straż Pożarna wykazuje dużą aktywność.

W tysiącach gromad członkowie organizacji masowych ściśle współpracowali z bibliotekarzami w redagowaniu gazetek gromadzkich, przemawiali na zebraniach, chodzili od domu do domu i zachęcali do czytelnictwa. Dochodziło do przeświadczenia, że upowszechnienie czytelnictwa na wsi to nie tylko sprawa bibliotekarzy, lecz i wszystkich członków organizacji społecznych.

Nie bez znaczenia jest również fakt ożywienia działalności wielu Gminnych Rad Czytelnictwa i Książki oraz ich pełnomocników gromadzkich. Spostrzeżenia wizytatorów bibliotek, wypowiedzi członków komisji konkursowych stwierdzają, że większość pełnomocników gromadzkich dopiero w akcji konkursowej dostrzegła dla siebie konkretne zadanie i od współpracy w organizowaniu zespołów konkursowych rozpoczęła swą działalność.

Najistotniejszym jednak osiągnięciem, przewidzianym w założeniach konkursu jest fakt, że ponad pół miliona chłopów postanowiło wolny czas w okresie jesienno — zimowym poświęcić na czytanie książek przewidzianych w wykazie konkursowym.

Czytanie i omawianie przeczytanych książek, organizowanie dyskusji w zespołach konkursowych, przygotowanie i umiejętne przeprowadzenie konferencji czytelniczych w gromadach, wzięcie wszystkich nowych uczestników konkursu do stałego korzystania z biblioteki — oto najbliższe zadania, jakie stoją przed organizatorami IV etapu konkursu czytelników wiejskich.

KSIAŻKA I EKONOMIA

(Dokończenie ze str. 1)

Bibliotekarka gminna zdawała sobie sprawę, że szerzenie wiedzy rolnej wśród chłopów jest równie ważne, jak czytelnictwo literatury pięknej. Wiedziała, co komu dać do ręki. Janinie Zagroźnej i Stanisławie Piotrowskiej — byłym wyrobnicom dworów w Pierzyskach — dawała książki Wasilewskiej i Kruczkowskiego, Orkana i Wiktora — kronikarzy ludowej krzywdy. Leonardowi Olszewskiemu, zapaleniemu eksperymentatorowi, dawała broszury rolnicze, dzięki którym mógł zwiększyć plony buraków i zbóż jarych. W Trzpiolach, podczas zimy wyszła na pole do chłopów, by w czasie odpoczynku czytać im książkę o tempie chwastów przez umiętną podorywkę. Zgodnie z maksymą, że nie nosiła tabakierki, ułożyła także plan zajęć z czytelnikami; wieczorem z rolnikami, w dzień — z żonami rolników.

Wyniki nie dały na siebie długo czekać. Poszukiwały się tu znowu przykładem Cichockiej, bo jest on chyba najbardziej charakterystyczny. Ona to właśnie pomogła ob. Majchrzakowej w rozszerzeniu zasięgu literatury rolniczej. Książki o uprawie ogródków działkowych, hodowli kur i owiec wracały od niej na półkę biblioteczną solidnie sfatygowane. Z książki „O hodowli owiec” nauczyła się dawać przy-

chówkowi właściwe ilości i rodzaje pasz treściwych, poznała sposób uprawy filku gatunków słodkich traw pasionkowych. Dzięki tej książce jagnię, które się w styczniu urodziło, już w marcu dało kilogram cienkorunnej wełny; przy następnych podstrzyżynach — 1,60 kg., za trzecim zaś razem w listopadzie — aż 2 kg. Starsze owce, hodowane nowym sposobem, dawały jeszcze lepsze wyniki: 7 kg pierwszorędnej wełny rocznie, gdy poprzednio dawały 3,5 kg. Dziś za każdą młodą sztukę z „książkowego” przychodku oferują Cichockiej po 300 zł.

Doskonałym uzupełnieniem przykładu Cichockiej jest przykład jej 18-letniego syna, Adama. Chłopiec uczy się w szkole metalowej w Mławie w dziale maszyn rolniczych. Po ukończeniu wróci „na stare śmieci”, by je wymiatać, by wprowadzać na swą wieś nowe zmechanizowane sposoby uprawy roli.

Cichocka instynktownym odczuciem potrzeb swego terenu, stała się krzewicielem wiedzy rolniczej i rolniczego eksperymentu, krzewicielem umiłowania zawodu rolniczego. A przecież jej rodzina nie stanowi jakiegokolwiek wyjątku w strukturze społecznej większości mieszkańców gminy. Mąż Cichockiej jest kolejarzem — i jak wielu innych chłopów — musi łączyć pracę robotnika z obowiązkami rolnika — producenta.

Energia jego żony i nauka syna gwarantują równowagę między jednym a drugim.

Przykład ten wskazuje jak w warunkach specyficznego roszczenia społecznej struktury rodzinnej można realizować postulat IX Plenum i uchwały Rządu o podniesieniu na wyższy poziom produkcji rolniczej i hodowlanej. Przykład ten pokazuje, jak wielką rolę w realizacji tych zadań może odegrać dobrze zorganizowane czytelnictwo na wsi. Jak przykład ten wiąże się ze zjawiskiem żywiołowej reakcji tutejszych chłopów na uchwały IX Plenum? Na ile wyjaśnia przyczyny tego wpływu?

Oczywiście, jedyny przykład Cichockiej sprawy tej nie rozstrzyga. Ale przykład ten powtarza się wielokrotnie w działaniu 600 czytelników biblioteki gminnej w Stupsku i gromadzkich filiach. Praca biblioteczna w Stupsku, idąca w kierunku wydobycia z gospodarstwa rolnego maksymalnego rezerwu produkcyjnych i ograniczenia nadmiernej odpływu siły roboczej do miast — stanowiła naturalną przeciwwagę tendencjom skrzywiania funkcji gospodarcejskiej tutejszego rolnictwa. Dziś po IX Plenum znajduje ta praca mocniejsze jeszcze u sankcjonowanie, zyskuje walor świadomego działania w podnoszeniu kultury na wsi.

Ryszard Hladko

JAN JELONEK

Problemy kulturalne gromady Porąbka

W ciągu 20 międzywojennych lat dziesięciu mieszkańców Porąbki ukończyło szkoły średnie; z nich pięciu zdobyło wyższe wykształcenie.

W ciągu ostatnich 9 lat wyjechało z Porąbki około 50 chłopów i dziewcząt, aby na politechnikach i uniwersytetach oraz w wojsku osiągać tytuły inżynierów, magistrów czy też stopnie oficerskie. Każdy rok powojenny daje Porąbkę 20-krotnie większą ilość młodzieży z wyższym wykształceniem i 30-krotnie większą ilość maturzystów, niżeli to było w okresie międzywojennym.

O bezrobociu nikt już tu nie pamięta; analfabetyzm przeszedł do historii. W gromadzie powstały takie organizacje i instytucje, jak Gromadzki Komitet PZPR, Gromadzkie Koło ZSL, Koło ZMP, Gminna Spółdzielnia, spółdzielnia produkcyjna oraz gromadzka świetlica z etatowym kierownictwem. Została też uruchomiona księgarnia Gminnej Spółdzielni i dwa kioski przy kopalniach „Kazimierz” i „Juliusz”. Trzy przedszkola i posiadająca 15 sili nauczycielskich szkoła podstawowa oraz szkoła górnicza przy kopalni „Kazimierz” dopełniają całości obrazu.

Przy tych osiągnięciach mamy jednak i szereg niedociągnięć. Przejrzyjmy pokrótce nasze zdobycze w kulturze i oświacie poprzez prasę, książkę, szkołę i świetlicę.

Listonosz obsługujący gromadę Porąbka, roznośi ogółem 27 pism w ilości 294 egzemplarzy. Wśród nich „Przegląd” figuruje z ilością 168 egz., „Trybuna Robotnicza” — 29 egz., „Gromada” — 24 egz., „Moda i Życie” — 20 egz., „Zielony Sztandar” — 11 egz. — Takie pisma, jak: „Wies”, „Rolnik-Spółdzielca” czy „Przyjaźń” liczą 3-4 egz. Pozostałe 20 pism daje w sumie 32 egzemplarze.

Czy takie czytelnictwo, obejmujące w sumie około 500 egzemplarzy i czasopism, jest w Porąbce wystarczające?

W gromadzie mieszka około 6 tysięcy ludzi. Jedna gazeta wypada więc na 12 mieszkańców, jedna gazeta rolnicza — fachowa — na 10 rodzin chłopskich, 4 egz. „Rolnika-Spółdzielca” — na 60 pracowników GS, czytają to pismo tylko niektórzy członkowie zarządu, jeden egz. „Głosu Nauczycielskiego” — na 15 nauczycieli, 4 pisma fachowe — na spółdzielnię produkcyjną. Kilka innych pism otrzymuje świetlica.

Przejdźmy do książki. Księgarnia GS w Porąbce w ciągu roku 1953 sprzedała wydawnictw książkowych za 11.423 zł. Z tego zaledwie za kilkadziesiąt złotych książek rolniczych. Z chwilą objęcia kierownictwa księgarni przez Antoninę Kwiecień, sprzedaż książek wzrosła kilkakrotnie; gdy bowiem w I kwartale sprzedano książek za 295 zł, w pozostałym sprzedawano ich za 3 tysiące do 4.811 złotych.

Wiele książek kupują porąbaczanie w księgarniach Stalingrodu i Sosnowca. Jeśli więc przyjąć, że kupno w miastach równa się sprzedaży w księgarni w Porąbce, uzyskamy sumę ok. 22 tysięcy złotych, wydanych na książki beletrystyczne i popularno — polityczne, oprócz podręczników szkolnych (sprzedano ich w Porąbce za 2.600 złotych).

22 tysiące złotych wydatkowanych przez gromadę w ciągu roku

na czytelnictwo, oznacza na osobę około 3,60 zł — czyli jedną książkę.

Jak z powyższego widać, czytelnictwo książek i gazet fachowych jest w Porąbce słabe. Jak niewielkie jest zainteresowanie się jej ludności rolnictwem, świadczy fakt, że na 50 osób kończących wyższe studia, tylko jedna jest na leśnictwie i jedna na ogrodnictwie. Spośród półtora setki maturzystów tylko dwie osoby były w szkołach rolniczych.

Pytałem kiedyś kierowniczkę księgarni, ob. Kwiecień, czy są jakieś możliwości powiększenia sprzedaży książek?

— Oczywiście! — odpowiedziała. — Książek można by o wiele więcej sprzedać, gdyby do pomocy użyto kolporterów spośród młodzieży. Dotychczas tylko nauczycielki, ob. Mlonkówna i ob. Mocho z Maczek pomagały w sprzedaży. Młodzież z ZMP i świetlica nic w tej sprawie nie zrobiły.

Obserwując działalność ZMP, ZSL, organizacji zawodowych i politycznych w gromadzie i udział w nich młodszego nauczycielstwa, mogę stwierdzić: w ciągu ostatnich lat niewiele zrobiono dla zorganizowania stałej akcji świetlicowej i kulturalno — oświatowej wśród młodzieży zorganizowanej.

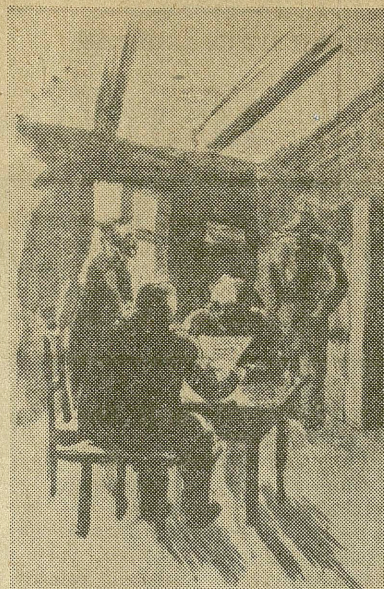
Nauczycielstwo, bardzo wydajnie pracujące na terenie szkoły podsta-

wowej, zupełnie nie interesuje się swymi wychowankami po wyjściu ze szkoły. Prawda: znaczny odsetek tej młodzieży idzie do szkół średnich; część z nich wszakże pozostaje w domu, zapominając czego się nauczyła.

ZMP w Porąbce nie rozszerza swych wpływów na młodzież nie zorganizowaną. Nawet obecnie, gdy istnieje już zorganizowana praca świetlicowa, kierowniczką świetlicy ob. Pelagia Sierka stwierdza mały udział młodzieży ZMP-owskiej, a prawie żaden — miejscowego nauczycielstwa. Brak zainteresowania tymi sprawami cechuje również pracowników GRN. Na dwukrotnie zwołowane zebranie zarządu świetlicy ani prezydium GRN, ani nauczycielstwo nie przysłały swych przedstawicieli.

Cóż więc dziwnego, że po ukończeniu szkoły młodzież nie otoczona opieką przez starsze społeczeństwo, nierzadko ulega wpływowi chuliganów, przekładając gospodę i karty — nad książkę i rozrywkę świetlicową?

Radziecy pisarze, Jewgieniew i Nosowski, w burzowej „Wieskiej świetlicy” — opisując rozwój i pracę świetlicy we wsi Maliwo nad Oką — podają, jako podstawę owoce pracy, zorganizowanie rady świetlicowej, złożonej z szerokiego aktywu inteligencji i aktywu



Rys. J. Nykiel

politycznego oraz przodowników pracy.

W Porąbce zarząd powołany w dniu 14 listopada 1935 r. również został w ten sposób, zorganizowany, nie spełnia on jednak zadania. Prezes zarządu ob. Działach, zaangażowany do pracy społeczno — politycznej, jako prezes PKW ZSL w Będzinie i przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Porąbce, nie może poświęcić świetlicy dostatecznej ilości czasu. Z pozostałych członków zarządu pracują tylko ob. Antoni Dziel, Czesława Szobowa oraz ZMP-cy Ciura, Guclarz i gospodarz świetlicy, Stanisław Filo. Brakuje nauczycielstwa i wydatniejszej współpracy aktywistów politycznych.

Jeśli brak aktywu politycznego i nauczycielstwa nie zostanie uzupełniony, praca świetlicowa nie rozwinię się. A zadanie świetlicy na terenie Porąbki jest bardzo duże. Powinna ona: zawierać ścisłą współpracę ze spółdzielnią produkcyjną; uaktywnić organizację młodzieżową i objąć jej wpływami całą młodzież pozaszkolną oraz pracującą w przemyśle; wzmoczyć czytelnictwo na terenie świetlicy oraz przygotować i zapracować miliońków książek do prowadzenia kolportażu w oparciu o księgarnię GS; zainteresować młodzież Porąbki oraz jej organizacje i instytucje sprawą budowy boiska sportowego; sceniczną i śpiewaczo — muzyczną; organizować odczyty szkoleniowe — i przez szeroką ich propagandę gromadzić w lokalnej świetlicy jak najwięcej społeczeństwa starszego; założyć na terenie ogroduka przy domu ludowym lub na terenie spółdzielni produkcyjnej polka doświadczalną dla zespołu miczurinowskiego, dla młodzieży chłopskiej i robotniczej, interesującej się naukami przyrodniczymi; doprowadzić do omawiania w gazecie ścieńczej i bliskawicy aktualnych zagadnień z zakresu prac rolnych w gromadzie i spółdzielniach produkcyjnych, podstaw obowiązkowych, zawodów sportowych, wyników konkursów czytelniczych itp.

Gromada Porąbka — jak i dziesiątki gromad w Zagłębiu węglowym — nie jest gromadą rolniczą. Ale w okręgu przemysłowym każdy skrawek gruntu musi być tym pełniej wykorzystany, im więcej ludzi wokół czeka na plony. Owoc, warzywa, mleko, mięso — to niezbędne artykuły, które trzeba z istniejących rezerw wyprodukować. Porąbka takie rezerwy posiada. Dla ich wydobycia, potrzebuje jednak pomocy świetlicy.

Jan Jelonek

Porąbka — pow. Sosnowiec

WACŁAW PALIK

SZKOŁA NOWEGO ŻYCIA

W trosce o podniesienie autorytetu szkoły i osiągnięcia dobrych wyników nauczania i wychowania nauczyciele bronią się przed rolą „magika społecznego, który winien znaleźć lekarstwo na wszelkie bolączki i niedomagania terenowe”. Jak bowiem mówił wicepremier Cyrankiewicz na Krajowej Naradzie Aktywu ZNP — „tylko dobrze pracująca szkoła, wzbudzająca w młodzieży zainteresowania i pasję poznawczą, może być ośrodkiem promieniowania na środowisko starszych, na wieś czy gminę”.

Ale warto zdać sobie sprawę, że obok skarg nauczycieli: „jestem przeciętnym pracownikiem społecznym”, słychać również głosy chłopów zadowolonych i jawnego wroga klasowego, którzy powiadają: „nauczyciel winien uczyć, a nie agitować”. Na tę zbieżność propagowania odwrótu nauczyciela od prac społecznych zwracają uwagę nauczyciele ze spółdzielni produkcyjnych, których szkoła, dzieci i oni sami — niemałe mają zasługi w realizowaniu na wsi najwęższej, zasadniczej sprawy — socjalistycznego przeobrażenia rolnictwa.

Ta obserwacja wnosi niewątpliwie coś nowego do dyskusji. Przecież, koledzy, zaoszczędzić najwięcej czasu dla dobrej pracy w szkole, ale czy w tym przegrupowaniu sił od działalności społecznej do pedagogiki w szkole, nie należy wzmocnić czujności, skoro wróg klasowy na swój sposób wyzywa was do zamknięcia się w murach szkoły, a kiedy z frontu pracy społecznej ściągacie na wielu odcińkach swoje rezerwy — czy wam nie będzie sekundoł i pochlebiał?

Rzecz w tym, żeby między hasłem wroga: „nauczyciel winien uczyć nie agitować” a hasłem waszym: „nie możemy być przeciętnymi pracownikami społecznymi” — nie doszło do zbliżenia i kompromisu. Doświadczeni nauczyciele — spółdzielcy przestrzegają przed takim rozumieniem „dobrej pracy w szkole”, która jakoby była węższą od pracy społecznej i jeszcze jej nie dosięgała. Tak właśnie rozumie zadowolony chłop: szkoła — to nie polityka. Tak kombinuje wróg klasowy: nauczyciel w szkole — to tylko połowa zmartwienia.

A jak jest naprawdę? Nauczyciel — spółdziałca, Jakub Witek z pow. rzeszowskiego podaje charakterystyczny przykład. W programie szkolnym (fizyka, biologia, nauka o Polsce współczesnej) umieścił wycieczki dzieci do GOM-u, POM-u i na pola spółdzielni. Jakim echem odbiła się we wsi ta poglądowa nauka? Kulacy podstępnie zadowolonym: „Jadna mi nauka łaź po polu; szkoda na to jednej lekcji”. W tej wypowiedzi zawiera się pretensja, i dyktat.

Czy postępową szkołę, opartą o metodę poglądową, wiążącą teorię z praktyką może w takim wypadku pójść na ustępstwo? Może poddać się wyobrażeniu zadowolonego chłopca, które zostało ukształtowane na dawnej, pańskiej „dukałej” nauce? Może poddać się atakom wroga, który boi się przewrotu, jaki mogą wyrwać w umyśle dzieci maszyny, ukazujące wielorakie związki z klasą robotniczą, z socjalistycznym postępem technicznym, podniesieniem produkcji rolnej i przebudową ustroju rolnego?

Jakub Witek pokazuje, że nauczyciel na „swojej pozycji” w szkole nadal tkwi na głównym froncie

wał złe. Wspomnienia ojcowskiej, zadowolonej gospodarki zbyt jeszcze mocno na nim ciążyły. To, za czym długo tęsknimy wydaje się zawsze najlepsze. Trzeba wymierzyć tę tęsknotę latami głębokiej krzywdy społecznej, by zrozumieć, co należy czynić, żeby historia się nie powtarzała. Miłość do ziemi to nie tylko sentyment do kwitnących gruszy i falujących zbóż. Kochać ziemię to znaczy rozumieć jej prawa i zachodzące w niej głębokie procesy biologiczne i chemiczne. To znaczy również — rozumieć warunki społeczne władania jej skarbami. Nie rozumiał tego dostatecznie ojciec Rozbicki, toteż syn błąkał się po kraju, jak sienkiewiczowski Latarnik po amerykańskim ładzie. Zrozumiał to dopiero Władysław Rozbicki w ludowej ojczyźnie. Zabrał się do nauki, do czytania i do praktycznego stosowania zdobytej wiedzy.

W przeciwieństwie do systemu gospodarowania ojca, który siał zboże, Władysław przerzucił się na hodowlę i uprawę roślin przemysłowych. Polityka gospodarza Polski Ludowej zapewniła mu oplatność upraw przez stosowanie kontraktacji i pożyczek. Rozbicki jest dziś produkującym rolnikiem. Na niecnych 3 ha ziemi hoduje 3 krowy i 4 świnię, przeprowadza doświadczenia ze szczepieniem buraka cukrowego i uzyskuje dwukrotnie wyższe — niż normalnie — plony z ziemi. Przedwojenny, niewykwalifikowany robotnik, wiodł z niego do wsi, z miasta do miasta, głodny i obdarty, stał się w nowych warunkach politycznych czołowym rolnikiem powiatu legnickiego.

„Historyczna konstytucja P. R. L. — mówi Rozbicki — dała mi poznać, że Ojczyzna jest mi napraw-

dę matką, ale żeby zasłużyć na jej miłość muszę obojętnie wobec niej wiernie wypełniać”. Rozbicki nie tylko gospodaruje na roli, szerzy nie tylko wiedzę rolniczą, ale bierze czynny udział w życiu społecznym. Jest również korespondentem szeregu gazet, przede wszystkim „Chłopskiej Drogi”.

Sienkiewiczowski Latarnik, czytając „Pana Tadeusza” zapomniał zapalić latarnię morską. Spowodowało to katastrofę okrętu i wyrzuciło Latarnika ze służby. Los Miłazewskiego czy Rozbickiego podkreślał bezsensowność i zbrodniczość ustroju kapitalistycznego. Po drugiej wojnie światowej powrócił do ojczyzny dziesiątki, a nawet setki tysięcy, takich latarników. Poglębiają oni wiedzę zawodową, szerzą oświatę rolniczą, organizują kółka miczurinowców. Nie zapominają już o latarniach, które snopami blasków mają oświecać drogę dla okrętów polskiej wsi. Marszrutę dla tych okrętów wytycza polityka Rządu i Partii. Pogardzani na obczyźnie latarnicy stali się w warunkach nowego ustroju o gromną siłą twórczą. Oni to, między innymi, przyczynili się w nowej Polsce do powstania tego „cudownego wydajności pracy”, o jakim z uznaniem wyrażał się jeden z deputowanych francuskich, którzy niedawno u nas bawili. Sienkiewiczowski Latarnik — Skawinski, bezdomny nędzarz, łachman ludzki w ustroju krzywdy i wyzysku, przeobraził się nagle w człowieka — badacza natury, który kieruje prawami przyrody i zmusza ją do uległości dla dobra społeczeństwa i ludzkości. Pokazuje, że droga z Aspinwall do pełnego człowieczeństwa prowadzi przez socjalizm.

Teofil Kowalczyk

Wacław Palik

TEOFIL KOWALCZYK

POWRÓT LATARNIKÓW

Franciszek Miłazewski — to sienkiewiczowski Latarnik. Ojciec jego za czasów caratu był marynarzem na Morzu Kaspijskim. Po 1918 roku nie znalazł miejsca w ojczyźnie. Franek pracował więc u obszarników tureckich, wydobywał węgiel w kopalniach francuskich, miesił glinę w niemieckich cegielniach, zmywał pokłady na brazylijskich stawkach handlowych. Przenosił się z kraju do kraju, imal się każdej pracy, by ją wkrótce stracić i szukać nowej. Z Turcji wydłono go za agitację przeciwko niewolniczym warunkom pracy, z Francji za udział w strajku. Był człowiekiem bez domu, bez ojczyzny, bez bliskich. Najdłużej przebywał w Ameryce Południowej, gdzie godził się na najgorsze warunki pracy. Traktowano go jak niewolnika — metysa. Bito i kopano. Tak przeżył poza rodzinnym krajem 35 lat życia, 35 lat tęsknoty za ziemią nadwiślańską, za mową polską...

Minał jednak wiek sienkiewiczowski latarników, wiek pogardy i poniżania przez obcych. Do Brazylii nadeszła wieść o powstaniu Polski Ludowej. Franciszek Miłazewski wrócił i osiedlił się w Ziemi Lubuskiej, we wsi Biskupice Nowe.

Ziemia w Biskupicach — nie nadzwyczajna — V i VI klasy, ale dla człowieka, który tyle w życiu przeszedł, nie to było ważne. Miłazewski przestał być wygnanym, liściem motany przez dziejowy wiatr po obcych morzach i łąkach. Poczł się obywatelem i gospodar-

zem ojczystego kraju. Za granicą — we Francji, w Brazylii był „masyzną” o większej lub mniejszej wartości dla przedsiębiorców kapitalistycznych; tu, w kraju, była potrzebna nie tylko jego siła fizyczna, ale przede wszystkim inteligencja twórcza.

Rolnictwo — to nie tylko chodzenie za plugiem i rzucanie w ziemię ziarna. Rolnictwo — to w pierwszym rzędzie wiedza o ziemi i znajomość przyrody.

Miłazewski nie był z zawodu rolnikiem. Nie poprzestał więc na tym, że dano mu kawał ziemi i zabudowania gospodarskie. To były przecież tylko narzędzia pracy, warsztat, którym należało nauczyć się odpowiednio władać dla dobra społecznego, a więc jak najlepiej.

Miłazewski zna goręcy emigrancki los, mękę poszukiwania chleba, pogardę dla robotnika — zwłaszcza obcy narodowości — w ustroju kapitalistycznym. Czy możecie zrozumieć człowieka, który po takiej przeszłości otrzymuje nagle szansę przekształcenia jej raz na zawsze? To przecież powrót do człowieczeństwa i wolności.

Miłazewski godnie wywiązał się ze swego posłannictwa. Przez czytanie dzieł Darwin, Miczurina i Lysenki, przez studiowanie globosławstwa i biologii roślin, przez pilne i ciągłe śledzenie prasy rolniczej i przez praktyczne stosowanie zdobytej wiedzy, doszedł do wspaniałych wyników. Z gleby V i VI klasy, z której dotychczas zbierano przeciętnie 10 m żyta i 40 m kartofli z 1 ha — Miłazewski osiąga zbiór 35 m żyta i 160

m kartofli, pielęgnuje pszenicę krzaczastą, ogórki melonowe i gorczyce białe, udaje się dotychczas na południu. Założył we wsi kółko miczurinowskie i szerzy oświatę rolniczą. Przekreśla ponurą przeszłość swojego życia — buduje piękniejszy świat. Miłazewscy nie będą już nigdy bici i kopani, nie będą szukali chleba w Brazylii.

*

Władysław Rozbicki całe swoje życie spędził w kraju. Ale i on ma wiele wspólnego z sienkiewiczowskim Latarnikiem. Latarnik ponieważ wierał się, jak Miłazewski po obcych łąkach i morzach i tęsknił za ojczyzną, do której nie mógł powrócić. Rozbicki — syn małopolskiego chłopca z powiatu Biała Podlaska, zmuszony warunkami gospodarstwa i społecznego ucisku, opuścił rodzinną wieś, by szukać chleba w innych zawodach. Nie mógł pozostać na ziemi, którą kochał, bo w warunkach kapitalizmu nie mogła mu zapewnić utrzymania. Był murarzem. Pracował w lasach jako drwal. Nie dojadł.

Latarnik sienkiewiczowski, tęsknił za ojczyzną, Rozbicki tęsknił za ziemią, z której wyrósł, z którą zrósł się w dzieciństwie. Latarnika wypędzano ze stanowiska pod byle pretekstem; Rozbickiego obejmowały redukcje pracowników. Był również jak liść motany wicherem zdarzeń.

Po drugiej wojnie światowej wyjechał w gromadzie Stare Piekary, powiatu legnickiego i zaczął gospodarować na niecnych 3 ha ziemi IV klasy. Początkowo gospodaro-

życia społecznego gromady. Czy zerwał związek z POM-em, sąsiadką spółdzielnią produkcyjną, z radą narodową, z biblioteką, świetlicą? Nie wszędzie tam udziela się „jako dobry agitator socjalizmu poza szkołą”. Ale poprzez szkołę wszystkie związki powinien zacieśniać. Inaczej nie będzie ani dobrze uczył, ani dobrze wychowywał.

Nauczyciele-społdziałcy mają za sobą doświadczenia, w których rozwijała się najbardziej prawidłowo nowa rola szkoły i nauczyciela. Bardzo podzielał już autorytet szkoły, kiedy przestała mieć niski „pulap”, przedwojenny, kiedy stała się masową ośdczością dla nauki w szkołach średnich i wyższych. Ale ten szeroki nurt awansu w pierwszych latach wojny zbierał młodzież do miast i fabryk, niż zwracał z powrotem do prac w terenie. Dlatego trudna była sprawa ugruntowania autorytetu szkoły w nowej roli, jako szkoły **najbardziej powiązanej z życiem wsi, z jej przemianami**. Łaźenie po polu, agitacja — gdzie tu nauka? Baniakułi bez pożytku”. Toteż w wypowiedziach nauczycieli-społdziałców i nie-społdziałców nie bez powodu tak często powtarzają się informacje o szkolnych poletkach doświadczalnych. Oto jeden z tych środków, które ukazały szkołę, jako **szkołę nowego życia na wsi**.

Nauczyciel Seweryn Piątek w Kamieniu (woj. koszański) znalazł się pod zarzutem, że powinien uczyć, a nie agitować”. Było to w 1949 roku. „Nie agitować” oznaczało nie walczyć o nową rolę szkoły. A walczyć — znaczyło pogłębić „agitację”, uczynić ją sprawdzalną, praktycznie użyteczną i nieodpartą. „Co tam panowie będzie godol o paseniu krów, kiedy się na tym nie zna”. Tak to go chłopci zawracali od „agitacji” na stare, uświęcone pozycje „pana nauczyciela”. Ale Piątek założył szkolny ogródek miczurinowski. Udała się w nim kukurydza, i kapusta pasterna, i łubin, i jarowizacja kartofli.

Chłopi poczęli przychodzić po radę. Było to pierwsze zwycięstwo. Uznanie **nowej nauki** w szkole. Utrwalił je Piątek, wciągając rodziców do pracy na działce wraz z nauczycielami i dziećmi. Po czym przeszedł do zdobywania rodziców przez szkołę i dzieci. Wprowadził częste konferencje i odwiedziny na lekcjach. „Zgodził się” na pogadanki z dziedzin upowszechniania wiedzy rolniczej, inicjatywa bowiem wyszła od rodziców, na co cierpliwie czekał. Po półrocznej pracy wświadamiłajęcej w sierpniu 1950 roku, zawiązała się spółdzielnia. Wśród przodujących bygradystów znajdują się byli uczniowie, którzy dzięki zaszczepionej „agitacji” w szkole, potrafili na polach spółdzielni zastosować siew krzyżowy i gniazdowo — kwadratowe sadzenie kartofli.

Szkolne poletko urosło do rangi doświadczalnego ośrodka spółdzielni. Młodzież wraz z brigadierami eksperymentuje na „naszej spółdzielni”. Nauczyciele wygłaszają pogadanki o szerszym już wachlarzu: z dziedzin biologii, historii, literatury i rysunków (plany, rysunki maszyn, roślin, zwierząt itp.).

Nauczycielka Nieńska z pow. węgrowskiego, „choć mała oddała swoje 2 ha do spółdzielni”, również się zapisała, aby podciągnąć kobiety. Przekonała najbardziej wpływowe Helenę Żwirkową i Marię Zimną; za nimi poszło 14 kobiet. Spółdziałcy zaczęli pracę od zaostrzenia 50 ha ugoru. „Przyjemnie było, kiedy co dzień o 7 rano zawsze przed naszą szkołą zbierali się spółdziałcy i stąd odjeżdżali wspólnie pracować, aby wieczorem znów wspólnie zajrzeć do szkoły, gdzieśmy witali ich ciekawym programem wieczornicy”.

Niedawny gospodarz małorolny staje się przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej, liczącej kilkakaset hektarów. Jakież trudne nim i zarządem wyrastają, trudne dani. Kadry GOM-ów i POM-ów — szczupłe, agronomów i sił fachowych brak. Księgowość — istna dzungla. „A my nauczyciele — pisze Józef Buz (Henrykowska, pow. Zabkowice Śląskie) — myśleliśmy o wszystkim: o liceach ogólnokształcących, pedagogicznych i wychowawczych przedszkoli, o szkołach zawodowych (na miejscu: ceramiczna i przemysłu drzewnego), ale nie umieliśmy pomyśleć od razu o tym, że nasze spółdzielnie produkcyjne potrzebują traktorzystów, księgowych, agronomów, brigadierów, świetlicowców, bibliotekarzy”.

Tak to ponad poletkiem szkolnym i wycieczką do POM-ów ukazała się perspektywa na nową wieś, w której osadzić nie będzie coraz szerszy i wszechstronniejszy zespół kadr rewolucji technicznej i kulturalnej. I gdzie to, jak nie w szkole, powinien być zacząć się ów proces budzenia zamilowań, odkrywania talentów i kierowania ich do szkół rolniczych, metalowych i innych, po których ukończeniu powiększą kadry pracowników rolnictwa, kadry budujących nowe życie na wsi polskiej...

TADEUSZ TOMKIEWICZ

KOMU SŁUŻY PISMO

KOMU i po co jest potrzebna? Kogo interesuje różnorodność problematyki? I czy w ogóle wieś ją czyta? — zastanawia się Bartelski (patrz „Nowa Kultura” nr 49 pt. „Czy wieś czyta „Wies”?”).

Ja jednak stwierdzam z całą pewnością: czyta!

Pierwszy numer „Wsi” wpadł mi przypadkowo do ręki gdzieś w końcu 1946 roku, tj. w okresie, kiedy na wsi żyło się trojako (zwłaszcza my, pokolenie najmłodsze): pracowaliśmy we dnie na roli, wieczory spędzaliśmy na ławie szkolnej, borykając się z trudnymi zasadami pisowni i regulami matematyki. Po skończonych lekcjach czualiśmy, by obezwładnić bandyckie ręce, wyciągnięte po to, co nasze, co zdobyliśmy swoją pracą i potem.

W owym to czasie organizowaliśmy zależy ruch kulturalny w przodującym dziś pod tym względem Dolnym-Lesie. Pobudką do pracy kulturalnej — mówię to bez cienia przesady — była nam „Wies”. Pierwszy program jaki opracowaliśmy w lipcu 1947 roku, powstał z materiałów zamieszczonych we „Wsi”. Kolega mój, nauczyciel, był miłośnikiem poezji. Zbieraliśmy więc wszystko, co było możliwe. Robiliśmy wycinki. Zamieszczono we „Wsi” wiersze Puszczyńskiego, Lermontowa, Szewczenki, przekłady opowiadań Turgeniewa, artykuły i reportaże — służyły nam za lekturę w kółku czytelników.

W początkach 1949 roku nasz zespół artystyczny liczył 40 osób. Mieliśmy sporo innych pism, „Wies” jednak zawsze miała u nas pierwsze miejsce. Świetlica otrzymywała kilka egzemplarzy, a 14 członkowie zespołu.

To „Wies” rozbudziła chęć do nauki u wielu moich kolegów z rodzinnej wsi. Ja pod wpływem „Wsi” zacząłem pisać notatki do gazet i brnąć później przez gąszcz różnorodnych trudności, po kilku latach zostałem dziennikarzem w masowym piśmie chłopskim.

Daleki jestem od tego, by mierzyć się swoim piórem z ludźmi, którzy mają za sobą bogate doświadczenia pisarskie, których oświecały wydane pozycje literackie; nie mogę jednak milczeć, kiedy „Wsi” proponuje się miejsce w... lamusie. A takie, niestety, stanowisko zajął Bartelski.

Przed paru miesiącami byłem u pewnego nauczyciela w Łosianach w powiecie bielskim i tam trafiłem na komplety gazet, w tym również i na roczniki „Wsi”.

— Czyta? — zapytał Bartelski. — Na zabawę nie zbiera.

Inny przykład. Jakub Rożek z Korycina pod Sokółką, kowal-społdzielca, od trzech lat systematycznie „prenumeruje „Wies”, a szkoła podstawowa w Kupisku w tymże powiecie sokolskim otrzymuje również od dwóch lat 4 egzemplarze „Wsi”.

W świetlicy spółdzielni produkcyjnej w Staro-Kamiennej (pow. augustowski) znalazłem m. in. komplet „Wsi”.

— Trochę mi zniszczyli — usprawiedliwiała się świetliczanka — kilka numerów wyciągnął jeden z członków — Śnielerski.

— Po co?

— Wybrał z artykułami o spółdzielniach. Powiedziałam mu: — Zaprenumerujcie. Postuchali.

Czytają „Wies” w Szepietowie (pow. Wysoko - Mazowiecki), gdzie na pocztę przychodzi około 20 egzemplarzy na jedną wieś. Taki Jabłoński, jeden z pierwszych miczurinowców w Białostocczyźnie, niegdyś osobisty przyjaciel i pomocnik Miczurina, niejednego z naszych naukowców by nauczyl. Jabłoński „prenumeruje” i czyta „Wies”. Gdy w sobotę nie przyjdzie jej listonosz, sam się wybiera na pocztę. W tym „niepotrzebnym” piśmie taki np. Szepietowski z Czyżewa na pewno przeczytał Erenburga, skoro w swojej bibliotece posiada tak cenne pozycje tego autora, jak „Burza”, „Upadek

Paryża”, a ostatnio nim się jeszcze ukazał w wydawnictwie polski przekład, zebrał sobie z wycinaków drukowaną w „Życiu” „Dziwiąta fale”.

Szkoda, że nasi niektórzy „specje” z „szeroką znajomością wsi” widzą poprzez swoje okulary chłopca tylko w wypłowiałej maciejówce, w długich buciorach i pstrej kamizelce. Dzisiejszy chłop potrafi ocenić, dla kogo drukuje się Erenburga, o czym pisze się dla nauczycieli, miczurinowców, współdzielców. Bartelski swoim wystąpieniem dał świadectwo swoistego poglądu na wieś, lekceważenia chłopstwa...

A wreszcie armia tych żołnierzy pióra — korespondenci wiejscy, którzy często nie poprzestają na czytaniu i pisaniu notatek o skupie zboża, złej klasyfikacji, kumterstwie w GRN czy spleśniałych nawozach, a chcieliby sięgnąć po jakieś szkiełko problemowe, głębiej ukazujące związki między odnotowanymi przez nich faktami; chcieliby sami więcej i szerzej napisać, na co brak miejsca w gazecie masowej. Czy nie sądzicie, ob. Bartelski, że z tych ludzi mogą wyrósł przyszli dziennikarze i literaci?

Rozmawiałem niedawno z jednym takim z powiatu kętrzyńskiego.

— A no, cóż — powiada — czasem potrzeba coś więcej, niż sucha notatka do gazety. Pisałem już na tematy kulturalne do „Nowej Kultury”, ale mi nawet nie odpowiadali. Zdaje się, że oni tak: literaci o literaturze dla literatów, a reszta?

Tak więc z tych chociażby paru przykładów widać, że wieś nasza potrzebuje również pisma wybiegającego ponad „Gromadę” i „Przyjaciółkę”: głębszego, o szerszej problematyce. I gdy się we „Wsi” pisze o miczurinowcach, o spółdzielni, o nauczycielach, czy też zamieszka Erenburga — to wszystkim to trafia pod właściwy adres.

Trzeba się cieszyć, że na wsi mamy już tysiące czytelników o szerszym wachlarzu zainteresowań niż to przede wszystkim służy „Wies”. Oni ją czytają i będą wszędzie czytać, jeżeli propaganda i kolportaż dotrą do każdej gminy.

WACŁAW KOSOBUCKI

CHŁOP SIEGA PO WIEDZĘ

ARTYKUŁ p. Bartelskiego zamieszczony w N-rze 49 „Nowej Kultury” pt. „Czy wieś czyta „Wies”, przeczytałem kilka razy. Zapytywałem nawet swego sędziego, czy p. Bartelski miał choć odrobinę racji, wychodząc z tak krytyczną oceną nie tylko tygodnika „Wies”, lecz i nas — korespondentów i czytelników; wyrażnie bowiem potraktował nas, jako umysły wąskie i ciemne, którym tego i owego wcale nie potrzeba wiedzieć.

Jeśli p. Bartelski miał dobre intencje, to je ukrył pod złośliwością, a aktywista wiejski nie jest biegły w takiej „dyplomacji”. I stąd powstało zło; gdyż my na wsi uznaliśmy ten artykuł za gwałtowny atak na pismo, atak bezpodstawni i nie uzasadniony.

Gdzie miał słuszność p. Bartelski? W tym, że mało się we „Wsi” mówiło o zespołach teatralnych, że nauczyciele na łamach naszego pisma nie wspominali o kółku amatorskim w szkole.

Spółdzielnie produkcyjne też najczęściej oglądaliśmy we „Wsi”, wtedy, kiedy je organizowano, albo gdy oddawały plon; nie często natomiast widzieliśmy reportaże z zespołowej pracy w spółdzielni, z życia kulturalnego w świetlicy spółdzielczej. Sama jednak redakcja tego nie robi. Powinien był p. Bartelski zahaczyć trochę i o to,

aby nie zwalając winy na niewinnych, wspólnie ustalić kierunek pracy kulturalnej na wsi.

Natomiast nie miał racji p. Bartelski twierdząc, że wieś nie czyta „Wsi”. Skąd taka pewność? Kiedy wyjeżdżałem do Bydgoszczy, Warszawy, Olsztyna, nigdzie nie znalazłem tego pisma w kioskach „Ruchu”. Nieraz odpowiadałem mi, że „Wsi” wcale w kioskach nie ma. Wobec takiego stanu rzeczy nie można winić redakcji i brać nieodpowiedni kolportaż za podstawę do oskarżenia. O 300 km. od Warszawy w zaoconym pod względem kulturalnym powiecie — rozumiemy „Wies”; „prenumeruje” my też w gromadzie kilka numerów tego pisma. Przy dobrej organizacji i propagandzie znalazłoby ono czytelników w każdej wsi.

Ukończyłem 6 klas szkoły podstawowej, a rozumiemy „Wies” dobrze. Nie ma obawy, by było inaczej z innymi czytelnikami tego pisma.

Jeśli chodzi o miczurinowców, to twierdzenie p. Bartelskiego, iż nie dorosli oni do zapoznawania ich z pracami Erenburga, jest niczym więcej, jak patrzyeniem na aktyw wiejski oczami dawnego mieszczaństwa. Dla kogoś w takim razie przeznaczone są dziesiątki tomów w naszych wiejskich bibliotekach? Właśnie Erenburg (o dziwo!) jest bardzo przez nas — miczurin-

Z pamiętnika kierownika świetlicy (4)

CZESŁAW SCHABOWSKI

ROBIMY PORZĄDKI

29.V. Kowalczyk poprosił w imieniu Perdek, Hałaszczykiewicza (juniora), Marchewki, Dworaczki i Kaźmierczaka, abym ich zarejestrował jako stały zespół szachowy i zwiększył ilość lekcji oraz wyświetlanie reprodukcji z pism.

— Co? Kaźmierczak i Dworaczki chcą być stałymi członkami zespołu?

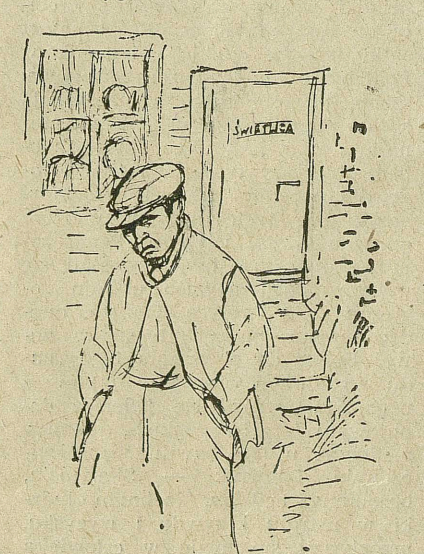
Nie miałem do nich zaufania. Byli to siemkowiczanie, bywalcy świetlicy, lecz tacy, którzy by radzi z niej wziąć jak najwięcej, a dać jej — chyba tylko swoje aroganckie osoby. Dziwiłem się nawet, że są w ZMP.

Dziś wieczorem rozmawiałem z Kopą, Perdek i Kowalem: uchwaliłiśmy pogadać z każdym z osobna z tej piątki. Węgieć gdy zawił się w świetlicy Kaźmierczak, wzięliśmy go na bok.

— Wczoraj kolega przeszkadzał mi w zajęciach świetlicowych. Nie wchodził w intencje tego zachowania się; nie świadczy ono zbyt pochlebnie o was, jako nauczycielu. Krótko: jeżeli jeszcze raz zrobicie mi coś podobnego, będziemy zmuszeni jakiś czas nie wpuszczać was do świetlicy.

W rozmowie z Dworaczkiem dodałem, że jedyną ich rehabilitacją za wczorajszą wycieczkę, możną być...

być jakaś pogadanka, którą nauczyciele łatwo mogliby przygotować i wygłosić.



Rys. B. Horska

Tymczasem facet nagle podsko- czył i rzekł opryskliwie:

— Wolno mi się bawić na świetlicy! A jeśli ktoś z mej zabawy się śmieje, to co? Mam im zamk-

Kopa i Perdek nawet nie spojrzawszy na mnie, chwycili faceta pod ramię i szurnawszy nim, wyrzucili go za drzwi. Kowalczyk wyszedł za nim na dwór i krzyknął:

— Z każdym, kto będzie obrażał naszą świetlicę, tak zrobimy! Albo świetlica, albo... woni!

Potem wzięliśmy na rozmowę panienki — jedną po drugiej.

3.VII. Praca idzie nadal, jak wóz po polnej drodze: w koleinach kolebie się, a nawet przystaje, a tam gdzie droga jest gładka i twarda, koła obracają się szybko, składnie. Tak i z naszą świetlicą. Tym bardziej, że zbliżają się zima. Zwolano dzisiaj zebranie aktywów, by uzgodnić stosunki. Przemawiałem; mówiłem o tym, co wydaje mi się najpilniejsze.

— Zrozumcie mnie, towarzysze — kończyłem — jeśli nie istnieje u nas ani rada kultury, ani rada czytelników i książki, nic, nic, co by miało jakiś charakter zorganizowanego sztabu w walce o podniesienie czytelnictwa i kultury; jeśli nie tylko tow. Bińczak, jako przewodniczący prezydium GRN, pierwszego swego wroga widzi w książce, ale i tow. Bartoszewski — niezłego, z wyjątkiem obowiązkowej

literatury partyjnej nie czyta — czy ja nie mam prawa myśleć, iż jestem kompetentniejszy w świetlicy? Poza autorytetem uznajemy przecież fachowość. Niech na przykład, nie mający zielonego pojęcia o szczepieniu przeciw durowi i lecznictwie w ogóle, pójde do lekarza i powiem: tak się nie szczepi, tak się nie robi zastrzyków, tak się nie bada, tak się nie leczy... Co ten lekarz o mnie pomyśli? Chciałoby mi się znaleźć skądinąd dobrego fachowca w innej dziedzinie, na takie moje uwagi pod swym adresem może pomyśleć różnie.

Udawadniałem wiele, dopinając towarzyszy do samokształcenia i czytelnictwa, do zbliżenia się ku rzeczom mającym niemal takie samo znaczenie, co i komitet założycielski.

Moja wypowiedź i samokrytyka wywołały taką reakcję, że Ryś z miejsca zabrał głos:

— Do świetlicy przychodzi tylko paru pętałów: Perdek, Marchewka, Cyrułik, Stokowski, Kosiński, Kowalczyk. Ale z tych spółków cała wieś się śmieje! Kto ich bierze poważnie? Sam nie wiem, po co świetlica istnieje. Chyba na demoralizację... Bo nie innego w niej nie widzę.

Tow. Bruner, instruktor Komitetu Powiatowego przerwał:

— A jak pracuje wasze kolo? Jesteście przewodniczącym koła ZSL,

— Nic nie mogę zorganizować. Bo gdy zapraszam kolegów na zebranie, to mi odpowiadają: „Po co mam chodzić na zebranie? Zebyscie mi tam o spółdzielni gadali!” Jestem już przeszło pięć miesięcy przewodniczącym koła i ani jednego zebrania nie udało mi się doprowadzić do skutku.

Jeszcze raz poprosiłem o głos:

— Kolega Ryś sam przeciw sobie mówi: oczywiście takiego prezesa, który się upija, chłop nie będzie słuchał. Za pijaństwo kol. Ryś był wielokrotnie upominany tutaj i nie pomaga. Jest on jednym z tych, co wraz z niektórymi pracownikami prezydium, najczęściej „urządzą” u „Babki” — Kuchar- skiej. W ogóle dziwię się, że do tej pory nie zalecono sposobów na zlikwidowanie tej potajemnej knajpy. Dziwne, dlaczego kol. Ryś tak lubi składać wizyty „Babce”, a unika świetlicy? Dlaczego wypowiada tak krytyczny sąd w jej sprawie...

— Byłem trzy razy i mam dość! — przerwał mi Ryś.

— Ale zdaje się, że jako prezes ZSL-u na tutejszym terenie macie nie tyle prawo, ale i obowiązek bywania tam częściej. No, ostatecznie, jak widzimy, nie jest tak źle, i te „trzy razy” coś znaczą, gdyby nie to, że pierwszy raz do świetlicy przyszedł kol. Ryś wprost od „Babki”; był więc w takim stanie, że nasza świetlica mogła mu się wydawać zarówno lokalem

wpłacali prenumeratę tego czy innego czasopisma. Po miesiącu lub dwóch — po wczytaniu się w gazetę — nie trzeba już było do nich chodzić. Sami lub przez dzieci wpłacali prenumeratę. Przyzwyczaili się i polubili swoją gazetę.

W maju ub. roku postanowiłem propagować „Wies”. Poprosiłem listonosza o bloczek i poszedłem zdobywać prenumeratorów. Bez trudu zdobyłem w rejonie pocztowym Rokiciny 15-tu czytelników tego pisma. Zaprenumerowali je przewodniczący GRN, sekretarz przedsiudium, dyrektor szkoły zawodowej, księgowy spółdzielni, bibliotekarka, nauczyciele w Łaznowie, Popielawach oraz starsza młodziź szkoły zawodowej. Jestem przekonany, że poczytność „Wsi” w każdej gminie wśród działaczy gospodarczych i oświatowo - kulturalnych mogłaby być pokaźna. Przeciętnie mogłaby dojść do 20 egzemplarzy.

„Wies” wciągnęła mnie w orbitę problematyki wsi; co tydzień mobilizuje mnie to pismo do jeszcze wydajniejszej pracy w szkole, w radzie narodowej, w radiowęźle. Dzięki przypomnieniom „Wsi” utrzymuję najściślejszy kontakt z chłopami. A widzę, że wielu nauczycieli, zwłaszcza młodych, po liceum, odrywa się od mas, chociaż mieszkają w gromadzie.

Bartelski zarzuca „Wsi” różnorodność problemów, „wszystkoizm” itp. Rzeczywiście, problematyka „Wsi” jest różnorodna. Lecz od działacza wiejskiego wymaga się dzisiaj także znajomości ekonomii, literatury, rolnictwa, sztuki itp.

Bogate jest życie w każdej gminie; trzeba znać się na wielu sprawach, aby — jak mówił na IX Plenum Hilary Minc — wszystkie instrumenty grały. Tego się trzeba nauczyć. Te instrumenty — to całokształt bogatego życia każdej gminy, jej organizacje, jej instytucje i urzędzenia.

Dłatego omawianie zagadnień ekonomicznych na łamach „Wsi” jest konieczne. Jakż może być działacz kulturalny, jeśli nie łączy spraw oświaty i kultury z zagadnieniami ekonomicznymi?

Sprawy gospodarcze we „Wsi” ujmowane są inaczej niż w „Poradniku Rolnika”. Są one upolitycznione; wskazują na sposoby rządzenia w terenie; wskazują na sposoby rozwijania sojuszu robotniczo - chłopskiego; uczą więc organizować i rozwijać produkcję rolną właśnie wśród działaczy rolniczych i kulturalnych.

Rozczytuję się u nas w tych artykułach Antoni Feja — sekretarz przedsiudium GRN; uczą go one, że trzeba większą uwagę zwrócić na sprawy rolne, na oświatę rolniczą wśród chłopów. Analiza gminy z punktu widzenia nowych rezerw dla podniesienia wyników w uprawie roli i hodowli, jaką Feja przeprowadził na radzie, spowodowała ożywioną i twórczą dyskusję.

Co do krytyki Bartelskiego w odniesieniu do działu kulturalno-oświatowego „Wsi” — konieczne jest — według mnie — rozszerzenie tego działu, aby — jak pisze Bartelski — zapewnić więcej miejsca oświeceniowi życia kulturalnego na wsi.

„Wies” powinna kontynuować rozpoczęte jeszcze w kwietniu ubiegłego roku omawianie doświad-



czeń radiowęzłów. Jest to nowa dziedzina pracy kulturalno - oświatowej na wsi, dotychczas mało znana, nadal niedoceniana. Śniem twierdzić, że „Wies” pierwsza z pism literacko - społecznych dostrzegła ten problem i poświęciła mu szereg artykułów mobilizujących czytelników — działaczy terenowych do wydanej pomocy miejscowym radiowęzłom.

We „Wsi” — trzeba to podkreślić — bardzo przebiega to, o czym mówił na IX Plenum Jerzy Putrament: zbyt często i łatwo uderza się w ton entuzjazmu widocznego zakładając, że w ten sposób wzbudzi się entuzjazm w czytelniku. Samokrytycznie musimy się przyznać, że i ja, jako korespondent, pisałem w ten sposób. A przecież trzeba pokazywać trudności. Ale tak, aby czytelnik widział i perspektywę, dla których te trudności trzeba przezwyciężyć. To właśnie jest — jak mówi Putrament — metoda wzbudzania twórczego entuzjazmu.

Za mało jest we „Wsi” artykułów krytycznych. Zarówno redaktorzy, jak i my korespondenci, musimy dołożyć starań, aby ta strona lepiej wypadła na łamach naszego pisma.

Poziom „Wsi” podnosi się z tygodnia na tydzień. Ostatnie numery, przynoszące rysunki twórców ludowych i ilustracje wycinanek, nadają „Wsi” niemal artystyczny wygląd. Należałoby kontynuować zapoczątkowane przed rokiem podawanie nadytuliów do pokrewnych artykułów, w rodzaju „Co mówią spółdzielcy o opowiadaniach Antonowa” lub „O twórcach z ludu i twórcach ludowych” (Wies, numer 26, 1953 r.).

Nieudane są często we „Wsi” recenzje książek. Powinny być krótsze, podające czytającym myśli i wnioski tak, aby zachęcały i kierowały do tej lektury. Opracowywane w takiej formie recenzje mogą być wykorzystywane przez bibliotekarzy i radiowęzły w akcji propagandy książek.

Dziesiątki krytycznych uwag nadsunęły się każdemu czytelnikowi co do problematyki i redagowania „Wsi”. Dyskusja zapoczątkowana przez artykuł Bartelskiego powinna stać się sygnałem dla odpowiednich czynników, aby zastanowiły się nad sposobami lepszego rozpowszechnienia „Wsi” w terenie.

Pismo to — mimo niektórych braków — jest bardzo dla wsi potrzebne. Spełni ono jeszcze lepiej swoje zadanie gdy zacznie masowo docierać do gmin. Pomoże bowiem ludziom szybko rosnąć po przez przyswajanie jej problematyki i pogłębianie swym działaniem rewolucji kulturalnej na wsi.

Stanisław Krakowiak
Rokiciny (k. Koluszki)

„Babki”, „Ciutki”, jak i krowa z rogami na brzuchu i wymionami na łbie. A więc tego „razu” się nie liczy. Jeśli zaś zważymy, że drugim i trzecim razem był kol. Ryś w czarnych okularach, które mu kulak na oczy założył i poprzez które widać widzi, że świetlica jest miejscem „demoralizacji”, przeto należy uważać, że nasz prezes koła ZSL w ogóle w świetlicy nie był. Cóż: „Babki” i „ciutki” nie pozwalają...

Być może, iż wywiązałyby się ostra polemika, gdyż Ryś aż czerwieniał ze złości, ale przetrwał Bruner, chcąc podsumować dyskusję; a mówiąc się niemal o sprawach Siemkowicz już jakie cztery godziny.

Wieczorem długo nie mogłem usnąć. Tutaj taka nagonka na mnie, a ja wciąż mam milczeć? Lecz gdy zaczął coś więcej, dopiero mogą dać mi łupnia! Ale... nadal milczeć? Ani jednej notatki nie ogłaszać? Jeśli chcę milczeniem ułatwić sobie życie, to nie wolno mi milczeniem szkodzić Rysowi, Golińskiemu, Zygoniowi, Bartoszewskiemu. Tylko krytyką można ich wycofać.

Więc napisałem felieton o Rysiu, jako przewodniczącym koła ZSL, podając w tym felietonie po prostu dzisiejsze moje przemówienie pod jego adresem i z adresem redakcji „Zielonego Sztandaru” wrzuciłem do skrzynki pocztowej.

c.d.n.

